

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 22 (35)

WARSZAWA

SOBOTA

2 - VI - 1934 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

Z PODRÓŻY PO FRANCJI

DZIAŁACZE WYDZIWIONE I MATKA

Jedźliśmy i włożyliśmy się pośród górników polskich na północy Francji kilka dni, ale nareszcie musiało się to skończyć przy stole biesiadnym. Bieda, czy bogactwo nie do tego nie mają, sam zwyczaj tak zarządził. Król, chłop, biskup, czy też górnik, — ta sama będzie mistyka: zasiąść razem i choć człowiek już nie ma sił, — jeść, jeść i jeść. Po tylu rozmaitych, ujrzeć nareszcie pospólną sprawę, to znaczy zasycenia głodu i nakarmienia się gruntownego.

Ujrzeć zgodnie tę sprawę, na półmisku pokrajać, porozdzielać i teraz jej w każdym przybywa. Przybywa i przybywa. Zeby zaś nie uwięzła, by trudności nie miała szczególniejszych, popiće ją po drodze! Owszem, niech się ubija, ale także niech płynie.

Odbyła się na zakończenie wszystkiego taka uczta u państwa B., którzy się dorobili w północnej Francji na chlebie i na wędlinie. Pan B. posiadał wszystkie mistrzostwa, gdyż z piekarskiego przerzucił się na rzeźnicze, jedno zaś, drugie i trzecie, mistrzostwo oszczędności i czwarte, dokładnego rachunku poddał dojrzalemu mistrzostwu ducha swego, które orzekło niezawodnie, że Polak nie może nigdzie na świecie ostać się długo bez swego chleba krępkiego i bez płkatej kiełbasy.

Na tej codziennej tęsknocie rodaków za chlebem i kiełbasą dorobił się pan B. tak dobrze, że dziś niby Wierzynek, podejmuje nas szczegółowo, iż ledwie dyszymy za stołem. A znów wybierane wino z najlepszych lat i seryj dodaje nam skrzydeł. Więc dzieje się, co zawsze przy gruntownej uczcie: jeda obsadza się, w dół ciągnie, wino skrzydeł dodaje, pod sercem przeciąg błogi zaprowadza, — jak wybrnąć?!

Mają tu kraby, djably, ostrygi, langusty i frykasy. Nie! Dają polskie jedzenie, tylko francuskim porządkiem. Do tego mowy oby-watelskie. Gdy człowiek słucha toastów, ma wrażenie, jakbyśmy wszyscy razem tylko co właśnie uszczęśliwili Ojczyznę, że żyć bez nas nie może, my o tem wiemy, ale się nie chwylimy.

W gadaniu, picciu, jedzeniu powraca znów to wszystko, cośmy tutaj widzieli. Jedni wzruszają się raz jeszcze znanym tu wszędzie ołtarzem. Ołtarz przyjechał z Polski do małego górniczego kościoła a ciosany jest w drzewie i taki jest skoczylasowo-stryjński, że tylko przed nim chrzcic się chcą, tylko w jego pobliżu spowiedź im dobrze wypada. Księża francuza nauczyli w tej miejscowości po polsku, piśmudczyka z niego zrobili i teraz ksiądz ten mówi do nich co niedzielę z ambony starem słowem wujkowskim na francuskim przydechu.

Inni znów przypominają z rozrzewnieniem nasze polskie kawiarnie, „zaprowadzone” tutaj przez górników. Zobaczcie tylko, proszę! Światelko i muzyczka, światelko przymrużone, a muzyczka aż w dolku ścisła. Światelko, dym, muzyczka jaki smak, jaki ścisł, jaki dym, jaki kwas!

A do tego rzecz druga: w Strasznym Dworze i wogóle w naszych Dziadach czy klechdach, poematach i przeróżnych narodowych epikach występuje zawsze takitami jakiś „rodowity, szlachetniak” — Skoluba, Wajdelota, Gerwazy, czytam jak, niby że rycerz, praktyk, morowiec! Taki dostojnik-sługa będzie ci zawsze gonil za jakimś dziakiem, odyńcem, czy też inną zwierzyną. Bę-

dzie śmiało nastawał w najtrudniejszych przygodach.

A co dzik mówi o tem? No więc tu znów jest ów dzik. Ten, którego gonili po różnych Amerykach, kolonjach, pracach, szybach, fabrykach i przędzalniach, stalowniach i kopalniach. Kawalek kości ma wyjęty z czerepa i czoło zakłaknięte, dwa palce ma urwane, twarz prochem postrzelaną. Nie dał się. Wszystko stracił, ale zachował honor tajemny, który rozciera w palcach razem ze łzami gorzkimi nad upitym i kieliszkiem.

Tak to idzie po polskich kawiarenkach: jest w tych ludziach, zebranych tam, powaga i ból wielki. W ich przerwanym oddechu dyszy przestrzeń rozległej wędrówki. Jakby się w chrypkich słowach rozbił jakoweś prawo zwątlone, lecz istotne, spóźnione a żywotne niedotrzymanej ongiś wielkości narodu, za-trzymanej budowy, przelamanej tradycji.

Tak jest na głównej sali, ale z za pruskiej ścianki, zaraz z boku nadlatuje muzyka nowego pokolenia. Skulili się, zaciekli się ci młodzi nad niewielkim stolikiem. Kurteczki na ramionach zarzucone, nożyska pod krzesło podwinięte i grają, szczypią cierpką muzykę z mandolin, skrzypków, z innej brzechawej polityry, że aż się kwaśno robi w ustach i aż lzy idą z oczu i aż w uszach świruje.

To młodość, młodość, młodość! Twarda, oschła, wesola, zawsze u nas ta sama, pamiętam przecie w okopach legjonowych takie same orkiestry, grające na grzebieniach, butelkach, pod Urzędem, Koszyszcami, Kamieniuchą, w Karasinie, w Leśniewce i w czasach niemieckiego ausbildungu i w pociągach jadących na front włoski z naszymi legjonami. Związła, jak sęk rozlega się wśród prac najcięższych i nocy najciemniejszych i zawsze z niej wychodzi jakaś najlepsza rada.

Teraz gdy na podwórku mistrza kiełbas i chleba pana B. wsiadamy do aut, słyhać poprzez mrok nocy z uliczki bocznej taką właśnie muzykę. Nie da jej rady szum naszych motorów, ani wołania pożegnalne, — brzęczy swem szorstkiem skrzydłem i za szczyby wylata aż na drogę ku zakrętowi, gdzie czekają dziewuchy.

Wracamy już do Lille. Wstąpimy jeszcze do zasłużonego w Lens doktora Bratka-Kozłowskiego, który wybił się znacznie swą chirurgiczną sprawnością oraz wiedzą, prócz tego bierze udział w tysiącu prac organizacyjnych.

Doktory i doktory! Gdy się taki przytrafi, to niema jak taki! Mało już mu choroby, której w szpitalu słucha i wykłepuje, musi jeszcze prócz tego służyć społeczeństwu i oto całem swoim życiem stoi taki człowiek zanurzony w cierpieniu i wielkiej nędzy ludzkiej.

Jedziemy do doktora Bratka-Kozłowskiego z trzech powodów: że to stary kolega, legjonista, że nas chce winem koniecznie poczęstować i że zobaczyć musi swoje dzieło, dokonał bowiem trudnej operacji, musi zobaczyć chorą, która już drugi dzień nie ma wcale gorączki.

Jak u doktora fabrycznego w klinice: niby mieszkanie, ale właściwie wyłącznie poczekalnia: nibyto meble, ale wszystko to ledwie się trzyma w abstrakcyjnym zapachu szpitalnym.

Zaczynamy od chorej. Tak jest, polka. Wyrzucali już kobiecinę z kliniki i już za-

dnej nadziei nie było, tymczasem znowu w domu dzieci bez opieki. Teraz zaś istne чудо.

Čudo, čudo.

Jesteśmy w izbie szpitalnej, stare chłopy, bywałe, poobijane na świetcie niemal. Nie-żle się też wypilo, więc i chamstwo z nas bucha. Więc niby co nam znaczy taka górniczka, że niby los człowieczy? Kto tak znów bardzo o nasze losy dbał?!

Nie znaczy to nam nic, a przecieć gdyśmy weszli do pokoiczyny pustej, szpitalnej, zaraz przy drzwiach nogi nam podcięło i na palcach kroczyliśmy delikatnie.

Čudo spoczywa na żelaznym łóżku, pod szaremi kocami i uśmiecha się do nas. Z twarzy, lub żeby lepiej powiedzieć, z mięsistości policzków nic już nie pozostało. Widzisz samo oblicze duchowe wśród drobnych kości i żółtej biednej skóry uśmiechem rozświetlone.

Uśmiech jest tak spłoszony pod blaskiem zgasyłych oczu, że wygląda, raczej na blask, na wiew przebrzmiałej pieśni.

Doktor Bratek-Kozłowski mówi cicho do chorej. Wszyscy teraz patrzymy na jej włosy, które ciemną smugą wychylają się spod szpitalnego czepka. Aż się wydaje dziwne, że te włosy tak oto jeszcze rosną i kładą się wzdłuż twarzy, gdy prześwieślona cierpieniem, jakby prawie zanikła.

Doktor tłumaczy nam, cytując łacińskie terminy, jakie to były złożone operacje i jakim cudem udało się je sprawić. Trudno tedy nie doznać wrażenia, że nad kocykiem ta oto głowa spoczywa w oplocie ciemnych, dawnych, zdrowych jeszcze włosów, ale dalej pod kocem rozpoczyna się system bandażów, drenów, ran.

Chora uśmiecha się i powiada szeptem do doktora Bratka-Kozłowskiego, że skoro nas tu wpuścił, to chyba jutro pozwoli odwiedzić ją jej dzieciom. Bratek uśmiecha się i głaszcze chorą delikatnie po włosach, ona zaś rękę swoją na kocu położyła; kórato ręką jest jawnem świadectwem ciężkiej pracy.

My patrzymy, nic nie mówimy, ale przecieć widzę, że pułkownikowi Bleszyńskiemu drżą kąty ust i sam czuję, że mi ramiona opadły, jakgdyby pod ciężarem nadmiernym a tamtych jeszcze trzech jakichś wodzów pod ścianą milczy, przestępuje z nogi na nogę i pary z ust nie puszcza.

Bo to wygląda tak: że miły doktor Bratek-Kozłowski głaszcze biedną robotnicę po włosach jakby syn matkę chorą głaskał. I wygląda, że on to prawo ma, gdyż jest doktorem. Posiadł straszliwą wiedzę krajania ciała ludzkiego, przecinał tej kobiecie wnętrzości, ona zaś wdzięcznie mu przebacza, że ją znów dla jej ciężkiego życia odratował.

A my, poczciwie durnie, działacze wydziwione stoimy pod ścianą zmieszani, zawstyżeni we wszystkim, z czego nibyto powinno się być dumnym. Mężczyźni, wymyślacze postaci, chimer, czynów, ideologii, wobec kobiety takiej, która nowe życie ludzkie przypłaca swoją krwią i nową blizną.

Może dlatego, że mi się wino z głowy jeszcze kurzyło, a może w naglem olśnieniu serca, alem w tej chwili całą swą podróż i wszystkich wielkich ludzi spotykanych i wszystkich dygnitarzy ujrzał całkiem inaczej: że wszystko to przeciąga, że wszystko co czynimy przeciąga drobne, małe przed spojrzaniem zwykłej kobiety, która w prostocie i w skromności cierpienia jest wszęczę naszą matką.

T R E Ś Ć:

M. KUNCEWICZOWA

SEN PODRZUTKÓW

OLGIERD GÓRKA

PODZWONNE

DYSKUSJI

O „OGNIEM I MIECZEM”

EDWARD BOYÉ

P R O C E S

POZNAWANIA

PROCESEM ŻYCIA

R O Z M O W A

Z J. KLEINEREM

KADEN-BANDROWSKI

DZIAŁACZE

WYDZIWIONE

I M A T K A

STEFAN FLUKOWSKI

KTO POKAZAŁ

DRZWI LORDOWI

BURLEIGH?

JERZY HULEWICZ

O DYSKUSJĘ

WYŻSZEJ MIARY

H. PERETJATKOWICZ

TEATR W INDJACH

K. W. ZAWODZIŃSKI

KINEMATEKA

JERZY TOEPLITZ

NA MARGINESIE

ARTYKUŁÓW

FILMOWYCH

Z. T. KRĘPSKI

NIE ODPOWIADAM

— PROSTUJĘ

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K 1243/84/28

M A R J A
KUNCEWICZOWA

SEN PODRZUTKÓW

Kiedy nastaje ciepły czas, poprzez otwarte okna i drzwi kamienicy wypływa na podwórka życie warszawskich rodzin. Słychać, jak malcy płaczą, albo wśród zabawy wykrzykują, albo uczą się głośno, jak kucharki śpiewają przy siekaniu mięsa, jak panie domów popędzają kołowrót dnia, jak gwizdają i ziewają mężczyźni. Słychać cierpliwie — to pełen otuchy, to żalosci — bieg gam majerowych i minorowych, faktorowanie, blazenady i koncerty radja, stuk, zgrzyt mnóstwa przedmiotów codziennego użytku, rozgwar troski, satysfakcji i gniewu. Jeżeli ktoś długo mieszka w tej samej kamienicy — nie wychylając się z mieszkania, może letnią porą rozpoznać po swoistym wydźwięku, która rodzina daje znać o sobie. Jedne odzywają się kłótniami, inne loskotem gospodarczych czynności, jeszcze inne gramofonową erotyką, niektóre zaś — uporczywą, tajemniczą ciszą. Po kłatkach schodowych snują się windy i podrzucają ludzi w te, lub tamte kręgi rodzinne. Winda staje, czołwiek w kapeluszu przekracza jakiś próg i za chwilę widzi się go, jak wędruje od okna do okna, niczem pionek z jednej kraty szachownicy w drugą, coraz mniej osobny, coraz bardziej wchłonięty, coraz uleglejszy ciężkiej ręce boga rodzinności.

Na stopniach kościoła św. Aleksandra w pogodny dzień widuje się kobietę młodą i wesołą. Siedzi i nucąc kolysze dziecko. Opodał na chodniku tarza się drugie jej dziecko, nieco starsze, może już dwuletnie, pulchne i chyba różowe, ale tego nie widać, bo jest strasznie brudne. To starsze dziecko nigdy prawie nie biega i nie siedzi, chociaż można zauważyć, że zdrowie ma silne; zawsze tak — z kaprysów, czy z bezsensownego nalogu — tarza się po trotuarze. Kobieta od czasu do czasu zawoła, poszpera w przepaściściej torbie ze starego dywanu, wydobędzie z niej i wsadzi w usta chłopczyka suchą bułkę. Małec trochę potrępcze się w pozycji normalnej, coś zagada i czempredziej znowu rzuca się na ziemię, jak w ataku padaczki. Matce to nie wadzi, daje pierś niemowlęciu, pogodnie przygląda się wybrykom pierworodnego, na jej twarzy maluje się дума: karmi rodzinę, umie sprostać losowi. Kiedyś ta grupka podkościelna znikła z widoku — podobno dzieci chciano zabrać do przytułków, więc matka schowała się z niemą do nory, żeby nie oddać potomstwa w cudze ręce, żeby jednak utrzymać rodzinę.

W święta rodziny wysyłają w Aleje swoje poczty sztandarowe — najlepiej ubranych, najbardziej efektownych przedstawicieli. Trudno stwierdzić, żeby komuś sprawiła uciechę ów spacer niedzielny w tloku, w obłokach kurzu i benzyny, wśród epidemicznej nieprzyzwoitości piesków pokojowych, wśród zawieruchy kłujących, satyrycznych, lub śmiertelnie obojętnych spojrzeń. Jednak rozkosz wyższego rzędu rozświetla fizjonomje ojców, którzy pilotują w ścisłości wystrojone dzieci, fizjonomje dam, które wyszły z domu, zadysponowawszy: „na trzecie będą ciastka”, fizjonomje małych chłopców, znużonych i pysznych, bo spacerują z tatusiem. Wszyscy nosią wysoko sztantery swoich rodzin.

W dni zaduszne rodziny opuszczają celem reprezentacji nie tylko swoje domy, ale i swój czas: przenosząc się Czternastką i Jedyneką na Powązki, albo Szóstką na Brudno, udają się w bezczasowy wymiar, w strefę zmarłych przodków, by uzupełnić nieboszczkami szeregi klanu i tem okazańniej, tem dobitniej zaznaczyć rodowe istnienie. Ściągają przez cmentarne bramy, zaferowani, obładowani wieńcami, lampkami, łopatkami, kokoszą się i gospodarują przy grobach, przydeptują cudze darniny, patrzą z podoba na takie same zabiegi sąsiadów i tryumfują: u naszej babcie murawa ładniejsza, nasz dziadek ma grubszą płytę, nasza mama na fotografii lepiej wygląda, niż stara Kolaczowska. Siadają na malutkich ławkach, patrzą, jak pelgają po mogile płomyki i cieszą się, że mają swoich własnych zmarłych.

Po zamożniejszych rodzinach trafiają się kukulcze jaja: dzieci, które stołeczny komitet dożywiania skierowuje tam na obiady. Drobny chłopiec, małowoiny, pełen godności, kilka lat jada w obcym domu i spędza w nim wszystkie czas, wolny od nauki

i spania. Zna w tym domu każdy sprzęt i każdą intonację głosu. Odbierając omyłkowo telefon, objaśnia: „U nas niema tu nikogo takiego”. Domownicy liczą się z nim przy każdym projekcie, mówią „nasz Miecio”. Nauczono go grać na fortepianie, ubrano w miłe ubranka, zaopatriono w nawioki i polory panicza. Miecio lubi „inne życie”: dobry stół, niezrozumiale rozmowy, kwiaty, serwetki, ciągle dziękowania i przepaszania, fortepian Blüthnera, miękkie usta, książki na każdym wolnym miejscu i brak dzieciaków pod nogami. Ale czasami spóźnia się na obiad. I, jeżeli go za to grozić, chmurnieje, zacina się, żadne później przyznanie i dowcipki nie odoszczędzą skutku — milczy, rzuca z pod ręki niedobre spojrzenia. Wreszcie — nagabywany — oznajmia sucho: „Wszyscy z mamą jeździli na Grochów do cioci”. Albo: „Tata mnie wygnał po kłajster”. Albo jeszcze: „Siostrzyczki byli grymasne, mama kałała mi ich bać”. I tak właśnie wtemczas mówi podawemu, po czerniakowsku. Mówi przytem w pysznym poczuciu odrębności, niczem — okazuje się — nieprzekupiony. Przechwała się władzą, jaką mają nad nim rodzony ojciec i matka, grymasność siostr ogłasza, jak urodę, jak prowokację, jak zwycięstwo. Jego od trzech lat bezrobotny ojciec, jego płaczliwa „mamusia”, wiecznie wystająca u ogonach po magistracką zupę, jego sześcioro rachitycznego rodzeństwa i ich wszystkich piwniczne, jednoizbowe „mieszkanie” — ten cały kompleks klasycznej nędzy mieskiej zarysowuje się poprzez słowa Miecia, jako obraz wyniosłego suwerennego szczęścia. Przybrany dom ze wszystkimi swoimi dobrodziejstwami musi kapitulować przed taką drapieżną i wyłączną nędzą.

Przy końcu Nowogrodzkiej w dzielnicy, gdzie są skupione liczne instytucje użyteczności publicznej, stoi także dom podrzutków. To jest jakgdyby basen, w który codziennie splaywa jedna kropka, wytrawiona z najpotworniejszych cierpień, z najgłupszych paradoksów: jeden podrzutek! (Podrzutek w Warszawie przybywa do 46-ciu na miesiąc, najczęściej jeden dziennie). Lekarka ordynująca nazywa swój zakład wychowawczy: Dom Konfliktu.

Kiedy się tam chodzi po ogromnych czystych salach, zastawionych łózkami, kiedy się patrzy na łany niemowląt takich już odrazu skłopotanych, beznadziejnych, kiedy się wdycha obrzydliwy zapach jeszcze niesformowanych diał, zapach, który ma przecieć źródło w rzeźwym odor feminae, w czarownej woni miłości, kiedy się słyszy chóralny skrzyk głodu anonimowych żarłoków — w głowie ciągle lata bezradna myśl: „Co się stało? I co poradzić? Co się stało? I co poradzić?”

Niemowlęta leżą sucho, schludnie, nie-

które podgrzewane lampą, przysłonięte szkłem, wszystkie w jednakowych, nieposzlakowanych śliniakach, wszystkie karmione i dokarmiane podług najściślejszej, indywidualnej recepty. Ich maślanki z Malto-nem, ich skrupulatnie dozowane mleka i owocowe, jarzynowe ekstrakty mrozą się w chłodniach, rozgrzewają się na kuchniach elektrycznych — numerowane, mierzone i kontrolowane bez końca. Co chwila na sali wypełnia się hermetyczny kubeł z brudnymi pieluchami i odjeżdża w podziemia do wielkiej mechanicznej pralni, natomiast z niewyczerpianych szaf spływają jednym ciągiem czyste, odkażone pieluchy. Kobiety w różowych i niebieskich kitlach ciągle coś szorują — to ściany, to podłogi — waga skrzypli pod maleńkim ciężarem ośeszków, słońce płynie szerokimi falami, a zwiędzających nie opuszcza poczucie katastrofy.

W masowości tego wylęgu jest coś nie-naturalnego, jest coś z maligny, z upiorności. I opuszczenie niemowląt — mimo idealnych porządków — jest wielkie. Smoczki od flaszek wyszłyżgują się z niedoleźnych warg, flaszka stacza się pod pachę, bezradne tulo-wia popadają w pozycje niedorzeczne, niekiedy — bolesne. Nikt nie może stałe zwaćżać na takie drobnostki, upragnione flaszki, jak również stracone między barjerkami łózek, nogi, czy ręce muszą czekać, aż pielęgniarka wypadnie obejść ten właśnie, nie inny szereg pupilów. Dzieci, które już tu umieją — siedzą, albo stojąc, podskakują w łózkach. Skoro ktoś wchodzi na salę, odwraca głowę i patrzy bardzo poważnie; im mniejsze — tem poważniej. Ze wzroku, w którym niema jeszcze żadnego urojenia, żadnego ludzkiego zamiaru — przebija ostra surowizna bytu, sama jego tajemnicza i rozpaczliwa zasada. Tego wzroku tak prawie nie można znieść, jak oczu umarłych, albo jak tropikalnego słońca. Ten wzrok jest zbyt prawdziwy.

Na każdej sali bywa kilkoro faworytów: to są egzemplarze, które już sobie „wybrano na własność”. Bo codziennie prawie w tym ścieku zbędności, na tem śmietniku konfliktów zjawiają się ludzie, spragnieni dziecka — niechby cudzego, byle było małe i mogło stać się własne. Pielęgniarki skwapliwie, z uniesieniem, jak utalentowane ekspedjentki, prezentują, zachwalając swój bezpieczeństwa: „ten blondyneczek jest ładny, oczki rozumne, budowa znakomita”, albo: „radziłabym tę czarnuszkę, cudny owal twarzy i jakie długie ręsy”. Przybysze każą kłaść obiekt przed sobą na stole — nagi, w pełni światła; oglądają, wazą w rękę, idą dalej i póty szukają aż znajdzie się kształt najbliższy ich wyobrażeniu o idealnym człowieku. Wtedy postanawiając, że w takie właśnie różowe czy brunatne ciało będą odtąd przelawali własne życie i że cokolwiek uczyni z

niem, jakkolwiek go nadużyje nieznajoma istota — uznają to za wyrok losu.

Gdy zasadniczo dokonana się akt adopcji, z dziecka opada przekleństwo: serca szarytek opiekunek, cudzych matek zwracają się ku niemu z tą czułością, jaką wzbudza ocalony rozbitek. Nietylko dlatego, że przybrani rodzice czuwają już zdala i że za soianą znaczy się szanownym monogramem wyprawę małego anonima — również dlatego, że wzbudza zachwyty siła niemowlectwa, fatalistyczne jego „szczęście”, skuteczność urody, czy przypadku — niepochwytnej oręż, który pozwala parotygodniowemu stworzeniu triumfować nad społecznym konfliktem.

Nowonarodzone podrzutki przybywają zazwyczaj w nocy, kilkoletnie — w dzień. Te pierwsze łatwiej jest zostawić na ulicy pod osłoną ciemności, te drugie tylko w dzień, przy słońcu, zdobywają się na odwagę oczekiwania po bramach na matki, które już nie wrócą. I dzienny narybek jest tragicznym elementem Zakładu. Pamiętają, wiedzą, nie mogą zrozumieć. Oczekiwanie, zapoczątkowane w łbami, wyostrzone w komisarjacie — trwa nadal tygodniami, miesiącami w Domu Wychowawczym. Najjaskrawiej zaznacza się w pierwszym, trzytygodniowym okresie kwarantanny. Dzieci, izolowane od gromady, tkwią za szklaną ścianą, ubrane, wyczesane, sztywne od niezgniecionych fartuchów, od śnieżystych krzyków, każde w swojej klatce, jak znamienne okazy. Niektóre — piękne i świadome — stoją całe kwadransy bez ruchu — duże, różowe płatki, zbyt zdziwione, by próbować odlotu. Wchodzi ktoś obcy, staje przed szybą... Dzieci nie mrużą nawet oczu, czekają tem goręcej, każde biorąc za zwiastuna odmianny. Wreszcie jedno nie może dłużej znieść bierności: czteroletnia Danusia popycha drzwi i wychodzi na korytarz. Wsuwa dołną szczękę, błyska mysimi zębami, widać, że postanowiła przyzwilić na wszystko, byle to co jest, skończyło się. Byłe było inaczej. Czerwień się — jest gotowa. Niewiadomo co powiedzieć, najczęściej zagaduje się głupio: „Dzień dobry, kochanie, jak się masz”. Ale Danusia stoi w samym środku nieszczęścia, wysoko ponad grzecznośćką; Danusia lekceważy wstępy, odrazu uderza w sedno rzeczy, cienkim głosem mówi: „Mamusia nie ma mieszkania, mamusia mnie oszukała, mamusia sprzedaje rzodkiewki, mamusia powiedziała, że idzie po cukierek, mamusia nfe będzie wiedziała, że ja tu jestem, mamusia zna pannę Władeczkę, ale panna Władeczka nie zna policjanta i policjant nie zna mamusi, a panna Władeczka widziała, jak mnie prowadzili, a Siostra powiedziała, że jak wyrosnę, to sama pójde do mamusi”. Danusia dołnymi zębami zagryza górną wargę tak wysoko, że wygląda, jak mały buldog. Oczy rozjaśniają się od łez, policzki ciemnieją. Nie mówi już nic, już zupełnie nic więcej, tylko uderza miękką ręką w drobny łokieć i przechodzi — z boleścią, z rozważą, z bohaterstwem — w następną swoją, może do śmiertną, fazę oczekiwań.

W drugiej klatce wije się czarnooka, ostrzyżona do skóry, długonoga dziewczynka — lat sześć. Ta nie popycha drzwi i nie wychodzi przyzwalać, uśmiecha się wykrętnie, ta — kiedy nikt nie patrzy — próbuje uciec oknem. Przeprowadzono ją z rozciągniętą powieścią, z guzami, z sińcami na całym ciele. Kto ją zbił i kto, przywiozłszy z Rakowca, porzucił na Świętokrzyskiej ulicy? Babcia. „Moja babcia — to przeklęty drań” — objaśnia czarna dziewczynka. I do kogo tak chce uciekać? Do babci.

Mamusia, tatuś, babcia — mitologia podrzutków. Sen o poufałym byciu, o pocałunkach, o wielkim rodzinnym łożu, o osobistych sprawach, o biciu, które nie obraża, o słowach, których nie zrozumie nikt obcy, o sławie sąsiadów, o własnej bidzie i o prywatnym, domowym honorze. Wokoło zaśmieconych podwórek, w kamienicznych ulach, pełnych owadzjej sformości i ludzkiego nonsensu mieszkają straszne babcie, oszukanące mamusie, bezrobotni, pijani ojcowie. W kamienicznych ulach i w przedmiejskich szalaszach idą sen podrzutków — rodzina.

JULJUSZ ZNANIECKI

N E R W Y

Rozwinęły się włóknami w milion odgałęzień,
Naprężone, niby druty elektrycznej sieci,
Pochowane, powikłane, tajemnicze więzie,
Pełne prądów, skrzyżowanych biegiem swym naprzeciw.

Wibrujące przeczułeniem, duszą nasycane,
Kołysały strzępy wspomnień w fal powrotnych rytmie,
Lub łapały przyszłość z życia, jak czułe membrany —
Podśluchowe aparaty, straża nieuchwytnę.

Śnów ciężary je pogniotły, wizje codzienności,
Darły je uczucia sprzeczne, twardo i przekłęcie,
Po ich drogach trwał odwieczny, obłąkany pościg —
Gon człowieka wewnątrz siebie po swe własne szczęście.

W pajęczynę mocnych sznurów pochwyciły wszechświat,
Ziemskich spraw chaosem smutnym Boga omotały,
Przynosiły ciszom mózgu, skrzepę w groźnych wieściach,
Wielką miłość i nienawiść — złowieszcze sygnały...

I raz w nocy głucho-ciemnej, aż po ciała kres,
Przez gordyjski węzeł życia, przez spletaną sieć,
Przeszedł sygnał ostry, czarne S. O. S.
Śmierć.

Książeczka oszczędnościowa P.K.O. umożliwi Ci beztrudne spełnienie urlopu.

DIALOGI AKADEMICKIE

PROCES POZNAWANIA PROCESEM ŻYCIA

Rozmowa z Juljuszem Kleinerem

— Znalazłem się, dzięki panu i redakcji „Pionu”, w dość kłopotliwej sytuacji. Od szeregu lat, stale i konsekwentnie odmawiam wywiadów — i tem, że niejednokrotnie odmówiłem, zaslaniam się przed każdym nowym niebezpieczeństwem.

— Czy to zasadnicza niechęć do formy interwiewów?

— Uważam, że pisarz to, co ma do powiedzenia, daje w książkach i że książka mówi o nim wystarczająco. Ale pozatem istnieją powody ściśle osobiste. Kwestja pewnych sympatyj... stylistycznych. Nie lubię mówić o sobie. Mówię chętnie tylko o tem, co mnie zajmuje, poza sferą czysto osobistą.

— To stanowisko pańskie nie jest dla mnie niczem nowem. Jako dawny uczeń pański, pamiętam wskazówki, jakich pan profesor udzielał piszącym prace: nie należy przemawiać w osobie pierwszej, w przedmowie tylko i w przypiskach wolno badaczowi o sobie wspominać. Te przykazania można by rozszerzyć znakomicie nie tylko na badaczy. Tak zw. zatajanie samych siebie zaczyna być całkiem „demodé”. Epoka wychowuje inny psychiczny typ człowieka.

— Może, tylko niechże mnie pan nie uważa za człowieka, który odgradza się od dnia dzisiejszego. Żywo zajmuje mnie ta epoka współczesna, o której pan mówi — polska i ogólnoswiatowa. Staram się ją zrozumieć nawet wówczas, gdy mię razi. Uznaję wielkość czasów, w których żyję, i czuję ich bogactwo siły. Jednakże czuję też, że należę do generacji, która kształtowała się około 1900 roku. To fakt nieojobojętny. Okres ów był okresem rozkwitu kultury literackiej w Polsce i Europie — rozkwitu nadmiernego nawet.

— O ile się nie mylę, wspominał pan o tem w swej „Polnische Literatur”?

— Widzę, że do rozmowy dzisiejszej uzbroidł się pan w dokładną znajomość moich prac, i nadto w sporą ilość wspomnień. Widzę też, że mielibyśmy wiele do mówienia poza ramami t. zw. „wywiadu”.

— Tak, ale językiem wzruszeniowym w atmosferze nostalgii za tem, co było, a czego już niema, za latami, które odeszły w próżnię. Jeden z moich kolegów uniwersyteckich, dziś docent tej samej Wszechnicy, rzucił kiedyś myśl, że należałoby wydać Księgę pamiętkową z lat przełomowych Uniwersytetu Warszawskiego, od chwili otwarcia go przez Niemców, aż do odzyskania niepodległości. Jakże bogaty obraz gospodarki, z której miały skorzystać następne pokolenia, jakże niezmierny chaos życia ideowego i politycznych przekonań.

— Okres mojej działalności warszawskiej w latach 1916 — 20, pozostanie dla mnie zawsze, pomimo wielkiego przywiązania do Lwowa — okresem, do którego chętnie cofam się myślą. Były to czasy tworzenia się Uniwersytetu, pierwszego mego seminarjum, tak bogatego w indywidualności wybitne, narodzin nowej poezji. Pamiętam tak, jakby to było wczoraj, wieczór poezji Tuwima na którym ujawnił się poraż pierwszy nowy wielki poeta, niebawem wirtuoz słowa. Pan, jako założyciel i redaktor „Pro arte et studio”, z którego miał się wyłonić później „Skamander”, bliższy był tym wszystkim sprawom, ale i mnie były one bliskie, jako opiekunowi Koła poetów im. Kochanowskiego i tego czasopisma, które wyglądało na uniwersytecką „Chimerę”.

— To opiekunstwo nie było zapewne różną bez cierni. Dziewiętnastoletni lub dwudziestoletni „pisarze” są zwykle dość czupurnym i zadzierzystem elementem.

Nawiązując do wykładów pańskich, powiem, że ich temat był dla mnie niespodzian-

ką. Oczekiwałem cyklu prelekcji o Krasieńskim.

— Zapewne dlatego, że wtedy byłem głównie autorem monografji o autorze „Irydyona”, choć już poprzednio pracowałem nad Słowackim i pisałem też coś o Mickiewiczu.

— Czy z tego można wnosić, że, na początku działalności, istniał u pana profesora plan, by pracami swemi objąć trzech wielkich romantyków?

rys dziejów literatury naszej na tle literatury światowej, zarys, który przed czterema laty wyszedł po niemiecku w „Handbuch der Literaturwissenschaft”. Mam rozpoczęte obszernie studjum o zawiązkach romantyzmu. Nęci mnie historia filozofji polskiej i Wyspiański. Oddawna myślę o teorii badań literackich. Chciałbym się zająć rozmaitemi zagadnieniami twórczości współczesnej. A wreszcie — kiedyś powinno wyjść i nowe wydanie „Dzie-

rzyu Miguelowi de Unamuno. Z początku nie chciałem na nie odpowiedzieć, mówiąc, że jako dobry ojciec, nie powinien czynić różnicy między swymi dziećmi. Potem przyznałem, że najbardziej kocha „Requeros de la juventud y mocedad” za niesprawiedliwość swoich czytelników. Oto i pytanie: Które z wydanych, czy zamierzonych dzieł jest panu profesorowi szczególnie bliskie?

— Najbliższe zawsze to, nad którym pracuję. W stosunku do prac ogłoszonych obojętniej trochę. Gdybym miał mówić o sympatyjach dla studjów dawniejszych, to, jako szczególnie mi bliskie, wymienilibym niektóre rzeczy drobne: „O Panu Tadeuszu, Książce budującej” — szkice podróżnicze, zawarte w tomie „Sztuchów” — rozprawę o „Fikcji intelektualnej w literaturze” oraz o „Treści i formie” w „Studjach z zakresu literatury i filozofji”.

— Studjum o „Panu Tadeuszu” nabiera teraz charakteru uwertury do dzieła, któremu pan powitał rok 1934, będący stuleciem epepe. O ile się nie mylę, to pan pierwszy wystąpił z myślą o tym jubileuszu, odbiegającym od zwyczaju święcenia rocznic i urodzin poetów.

— Istotnie — według mego przekonania daty ukazania się dzieł bardziej są godne pamięci, niż daty biograficzne. To też w 1931 r. przedstawiłem Akademji Umiejętności projekt zjazdu ku czci „Pana Tadeusza”. Sprawa zaczęła już wchodzić w stadium realizacji. Miejscem zjazdu postanowiono uczynić Wilno. Inicjatywę tę podjął Komitet, organizujący międzynarodowy Zjazd Sławistów w Warszawie — i on też dzień mickiewiczowski przenieść chce do Wilna.

— Przed chwilą w znamienity sposób przyznał pan profesor historii dzieł pierwszeństwo nad historją życia autorów. Jest to zgodne z pańskimi dawniejszymi dziełami; zawsze uważałem pana za przeciwnika biografistyki. W „Dziejach myśli” Krasieńskiego życie pominięte było niemal zupełnie, w „Słowackim” akcent wartościujący panowanie daje dziejom twórczości — tymczasem w monografji o Mickiewiczu zupełnie samoistną wartość ma, czy to historia dzieciństwa, przedstawiona drobiazgowo, czy też oświetlenie stosunku do Maryli i ruchu filerackiego. Odniosłem wrażenie, że mamy do czynienia z zasadniczą zmianą stanowiska.

— Autor monografji, proszę pana, powinien stosować typ jej nie do jakiegokolwiek doktryny, chociażby własnej, lecz do postulatów osobistości, którą bada. Monografja o Mickiewiczu musi mieć styl i charakter odmienny, niż książka o Słowackim lub Krasieńskim. Zawsze zmierzam do tego, aby przedmiot, nad którym pracuję, pouczył mnie, jak go ująć należy.

— Czyż więc monografie pańskie należy uważać za owoce różnych metod badawczych?

— Nie, we wszystkich staram się stosować całość tych metod, jakimi rozporządzam i jakie do rozporządzenia daję nam stan nauki współczesnej, wychodzę przytem z tych samych założeń metodologicznych.

— To znaczy?

— Dzieło literackie, pojęte jako przynależność do odrębnej, autonomicznej sfery rzeczywistości, zawsze uważałem i uważam za właściwy przedmiot badań. Powinno ono być dla badacza literatury nie dokumentem, pouczającym o czemś, co nie jest tworem sztuki: o epoce, o stanie kultury i t. d., tylko wartością samoistną, organizmem, którego logikę wewnętrzną trzeba w miarę możliwości poznać. Ta przynależność do sfer rzeczywistości duchowej sprawia właśnie, że punktem wyjścia badań, warunkiem, bez którego brak prostu przedmiotu do opanowania — jest du-



JULJUSZ KLEINER

Rys. E. Głowackiego

— Nie. Ośrodkiem moich zamierzeń był tylko Słowacki i tylko nad monografją jemu poświęconą, myślałem dość długo przed jej istotnym napisaniem. Monografja o Krasieńskim stanowiła epizod, mimo że ona pierwsza została wykończona. A ostatnia z prac narodziła się jakby drogą organicznej ewolucji. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że idę ku monografji o Mickiewiczu. Poprzednio w którymś tam roku zarysowała się tylko niejasno, nawet chwilowo myśl o niej, jako projekt odległej przyszłości. Natomiast książka, rozpoczęta jeszcze w Warszawie, w 1916 roku — i częściowo napisana, dotąd ustępuje na plan dalszy, wobec innych prac. Jest nią monografja o Księciu Biskupie Warmińskim, którego ciągle jeszcze dostatecznie się nie docenia.

— A więc po „Mickiewiczu” nastąpi „Krasieński”?

— Nie wiem, gdyż naglą też inne prace. Trzeba doprowadzić do końca „Dzieła wszystkie” Słowackiego. Pozostaje jeszcze sześć tomów, oprócz ogłoszonych już dziesięciu. Trzeba także ukończyć literaturę dla szkół średnich, czy też liceów. Pragnąłbym również wydać w nieco odmiennem opracowaniu za-

jęć myśli Krasieńskiego”, o które już kilkakrotnie pytali mnie różni wydawcy.

— Dodawszy do tego wszystkiego stopy prac proseminaryjnych i seminaryjnych, magisterskich i doktorskich, olbrzymią korespondencję osobistą, przygotowania do wykładów, i obowiązki Akademika, można tylko za całą odpowiedź, bezradnie ręce rozłożyć.

— Mam zamiar długo żyć i długo pracować. Prawdopodobnie sporo z tych zamysłów zrealizuję, o ile mi nie przeszkodzą jakieś inne plany.

— Możliwe, że przeszkadzają też same obowiązki profesorskie?

— Raczej pomagają. Na katedrze czuję się nawet lepiej, niż przy biurku. Jestem psychicznym typem nauczyciela.

— Giovanni Papini pisze gdzieś, że kto się urodził na profesora, nosi w sobie niewidzialną katedrę, tak iż równie uniwersytecka aula, jak i ludna ulica może się stać dla niego salą wykładową. Dla mnie osobiście zawsze jasny był ten związek uczuciowy, łączący pana z uniwersytecką młodzieżą. Ale, skoro o uczuciach mowa, pozwolę sobie postawić pytanie, które zadałem kiedyś w Pa-

chowe życia się z dziełem. Musi być ono najpierw poznane, wchłonięte duchowo — potem dopiero można zacząć pracę badawczą. To poznanie jest w stosunku do arcydzieła długotrwałym nieraz procesem życia. Nie wystarczy systematyczna, metodyczna praca, choć i ona może doprowadzić do zrekonstruowania historii zewnętrznej dzieła.

— Zajmuje więc pan profesor stanowisko antyhistoryczne?

— Ależ bynajmniej. I pan oczywiście mówi to chyba dlatego, że widocznie scharakteryzowałem swój pogląd jednostronnie lub niejasno. Uważam wprawdzie historję literatury tylko za jeden dział wiedzy o literaturze — dział ten jest jednak istotny, i niedający się wyeliminować.

— Przecież dzieło, jako przynależne do autonomicznej sfery rzeczywistości, stoi właściwie poza sferą historii.

— Tak i nie, bo w tę autonomiczną sferę przenosi ono i utrwała w niej, wieczną składnikami czy oddziaływaniami rzeczywistości historycznej, określonej ściśle pod względem przy należności czasowej, terytorjalnej i osobistej. Dotyczy to każdego dzieła sztuki, bo każde należy do pewnego organicznego systemu kultury, związanego z momentem dziejowym. Utwór literacki nosi na sobie głębsze piętno historyczności, niż inne dzieła sztuki. Ów organizm wyrazowy, stanowiący jego konkretną i artystyczną realność, nie jest tak samowystarczalny, jak organizm architektury, rzeźby, muzyki, czy rysunku. — Wymaga on rozumienia języka, w którym został stworzony, a język ten jest przecież zindywidualizowanym, zorganizowanym pewnej rzeczywistości o piętnie zbiorowym, o związku nierozdzielalnym z narodem, z warstwą społeczną, z chwilą dziejową i z logiką pewnej osobistości twórczej. Dzieło wylania się z kręgów asocjacji, które muszą być zaktualizowane przez badacza, jeśli twórca ma przemówić pełnią wyrazu.

— Czyli w terminologii filozofa: utwór literacki wymaga komentarza, i to tem bardziej, im większy jest jego dystans od współczesności?

— Niewątpliwie. Idzie jednak o to, gdzie się szuka komentarza. I tu tkwi najważniejsza — bardzo zresztą prosta — zasada konstrukcyjna moich monografij. Każdy utwór i każdy pomysł winien być ustalony w związku organicznym z całą twórczością poety; utwory wcześniejsze i późniejsze oraz wszelkie wyznania z poza obrębu twórczości muszą dostarczyć komentarza, współbrzmieniem umocnić ton wyrazu i doprowadzić do ustalenia linii ewolucyjnych. Jest to droga najbardziej obiektywna i dająca najwięcej rękojmi, co do zrekonstruowania dzieł osobistości twórczej. Dalszego tła poznawczego dostarcza literatura, współczesna poezja, czy też w jego epoce aktualna, — literatura, pojęta jako przemienianie się, rozwijanie, zespalenie, ścieranie różnych form, motywów, zagadnień, postaw duchowych, jako budowanie duchowego świata, w myśl podniesionego momentu dziejowego i w myśl tęsknot wiecznych człowieka... Ale wywiadowi grozi przemienienie się w wykład. Pan zaś chciałby zapewne jeszcze jakichś informacji rzeczowych.

— Na wykładach „zdarzają się” także nieraz informacje rzeczowe. Zmieniając rzeczowość na aktualność, zapytam o dalsze tomy „Mickiewicza”.

— Linie wytyczne całości mam oczywiście gotowe, choć napisałem zaledwie początek nowego tomu. Istnieje pewien paralelizm „Dziejów Gustawa” i następujących z kolei „Dziejów Konrada”. Podobne stanowisko, jak „Sonety Krymskie” u kresu pierwszej linii ewolucyjnej, u kresu drugiej zajmie „Pan Tadeusz” — nie tylko szczyt poezji, dla której w dzisiejszej Polsce winien się znaleźć pełny oddźwięk, lecz także najistotniejszy wyraz prawdziwej osobistości Mickiewicza...

W tej chwili p. Kleiher zwraca mi uwagę, że musi już powędrować do pałacu Potockich, na posiedzenie Akademii — tą samą miłą drogą wśród urozmaiconej przestrzeni Krakowskiego Przedmieścia, którą przed laty kilkunastu chodził codziennie do sali wykładowej. Wrócić mi do wspomnień — i miałem poczucie, że jednak mało się zmieniło od owego r. 1916, będącego początkiem naszej znajomości. Chociaż — kto wie, czy byłby wówczas udzielił mi wywiadu — tego pierwszego wywiadu, przelamującego wieloletnią obojętność...

Edward Boyé.

STEFAN FLUKOWSKI

KTO POKAZAŁ DRZWI LORDOWI BURLEIGH?

Kiedy królowa szkocka Marja Stuart od dawala głowę pod topór kata na szafocie, liczyła lat czterdzieści pięć. Nie była więc już osobą o dziewczęcych wdziękach, zresztą w młodości obficie wyeksplloatowanych przez różnych Darnley'ów i Bothwell'ów. Ale o tem mało kto pamięta i w naszej wyobraźni zawsze urokiem swej pięknej i młodej postaci Marja pogrąża w odmęty zazdrości córkę Anny Boleyn i Henryka VIII. Zresztą królowa Elżbieta, zaledwie o dziewięć lat starsza, mogła być tylko brzydsza, no i mieć więcej siwych włosów. Chodzi o to „więcej” bo obie napewno świeciły obficie srebrnymi nitkami. Tyle kłopotów w ciągu życia!

Upiększanie fizycznego portretu Marji — to już są sprawy legendy, która wypelnia zadziwiająco łatwo wszelkie ciemne strony przeszłości wszechwiedzącą fantazją. A poezja romantyczna, której próbek, ba, całych prób dostarczył nam Schiller w wystawionej w Teatrze Narodowym tragedji, utrwaliła i poręczyła niejako autentyczność legendy. Słowacki także urządził specjalny zakład kosmetyczny dla mężczyzny na tronie, taki salon de beauté, gwiazdy wpinając we włosy dostojnej klientce i piorunami ondulując muzę tragedji. Temat ten łapczywie był wyzyskiwany, że w nowożytniej historii światowej stanowi jedyny w swoim rodzaju wyjądek zwady dwóch królowych sąsiednich krajów. Pewna amazońskość sytuacji podniecała wyobraźnię romantycznych autorów. Ale myliliśmy się, sądząc, że Schiller podczas pisania dramatu tylko kobiece sprawy miał na oku. To prawda, że pozwolił obydwóm damom powiedzieć sobie wiele impertynencyj w akcie trzecim (zresztą klótnia na niespotykany poziom wśród kobiet!); to prawda, że Marję Stuart otoczył aureolą męczeństwa i w wielkiej scenie przedśmiertnej wygrał z całą świadomą demagogją artystyczną wszystkie efekty teatru aż po ostatnie spotkanie się jej z ukochanym. aż do wrzeszczącego pożegnania ze szczupłym a wiernym dworem, aż do przyjęcia Komunii św. sub utraque włącznie. Jednak wszystko to nie stanowi istoty zagadnienia, która według naszego zdania tkwi zupełnie gdzieś indziej, wspierając się na tamtych, romantycznych momentach mimochodem i zmierzając w zupełnie innym, ściśle określonym kierunku.

Bieg wypadków jest taki. Marja Stuart zostaje oskarżona o krucie spisków przeciw Elżbiecie. Oskarżenie jest fałszywe (wedle Schillera). Sąd. Czterdziestu dwóch lordów skazuje ją na śmierć ogromną większością głosów. Teraz chodzi tylko o podpisanie wyroku, a raczej tytułu wykonawczego przez królowę Anglii. Elżbieta się wzdraga. Wie, że za to sama jedna będzie ponosić odpowiedzialność przed opinią publiczną. A tego właśnie boi się jak ognia i dlatego zaczyna grać. Zwleka z podpisem. Szuka pozorów któreby ją tłumaczyły. Tem także da się względnie łatwo wytłumaczyć jej zgodę na osobiste spotkanie z uwięzioną. A nuż co z tego wyniknie i nie trzeba będzie podpisywać przekłętę wyrok! Lud przed pałacem coraz natarczywiej domaga się sprawiedliwości, a w Europie pełno katolików, którzy podniosą tysiące protestów. Cóż za burza może wyniknąć po straceniu Marji! Oto pierwsza gra o charakterze politycznym: królowej w opinia publiczną — angielską i europejską.

Dalej Elżbieta ma wyjść za mąż za księcia Francji. Już poseł został przyjęty w tej sprawie i z przychylną odpowiedzią odprawiony. Kochanek Elżbiety, Robert Dudley hr. Leicester, czując obsuwanie się gruntu, zaczyna wracać myślami do uwięzionej Marji, z którą kiedyś łączyły go tak zwane „cieplejsze uczucia”. Marja go jeszcze kocha (oczywiście u Schillera). On jej nie, ale gdy będzie potrzeba, to potrafi udąć gorącą miłość. Tak zawiązuje się nowa gra, wynikająca ze strachu faworyta przed utratą majątku, stanowiska, władzy (wchodził na apartamenty królowej bez meldowania). Ze Leicester pozycję swą zawdzięczał wyłącznie czynnikom natury uczuciowej, na to całkowicie zgadzamy się z Schillerem. Historyczny Robert Dudley, jako mąż stanu i wódz, był zupełnie zerem: musiano go odwoły-

wać z Niderlandów po krótkim rocznym pobycie tam w charakterze stadhoudera. Za to truć podobno umiał znakomicie. Poza tem — spec od stosunków miłosnych, idealne wcielenie intrygi dworskiej. Więc druga gra: faworyta — o serca potężnych dam.

Wielki skarbnik William Cecil baron Burleigh według dzisiaj przyjętych określeń jest państwotwórcą, imperjalistą, potem człowiekiem ograniczonym, wyżytym wszelkich uczuć osobistych. To mechanizm, działający pod wpływem jednej tylko myśli, jednego tylko zamierzenia, ogromnego jak Imperjum Brytyjskie, ale jednego.

Od początku tragedji jednakowy, niezmienny, twardy, okrutny, purytański, nudny! Tylko trzeba uważnie posłuchać tego, co on mówi Marji w akcie pierwszym o powadze prawa, albo o składzie sądu, który ją skazał na śmierć. Nawet Talbot, reprezentujący również obok Burleigha imperjalizm i państwowość, potrafi być ludzki, potrafi się wzruszać, i to nawet pięknością urody kobiecej. Tak, staruszek się zapala, a jakże! Ale te sprawy dla lorda skarbnika nie mają najmniejszego znaczenia: on gra o wielką Anglię, o imperjum światowe!

Wreszcie czwartą, romantyczną, nieobliczalną grę prowadzi Mortimer. A to dlatego, że kocha. A że kocha, więc zostanie przesłonięty przez potężne sylwety głównych osób, działających w wyrachowaniu. Ale próbki gry, jakie zademonstrował, były pierwszorzędne. Brawo, młody Mortimerze! Cóż z tego, że śmierć przetrnie młode życie? Za to klasa gry jakże wysoka! No i ta przebojowość, która stała się ostatecznie powodem katastrofy!

W tym wirze zawrotnych i potężnych sił Marja schillerowska jest raczej przedmiotem wątku dramatycznego, anizeli jego podmiotem, jest punktem, w którym krzyżują się wszystkie linje napięć kierunkowych, ale sama przedstawia wartość wybitnie potencjalną.

Norwid wypowiada w związku z rozważaniami o dramacie polskim taką ogólną uwagę: „wiadomo, iż kobieta jest jedynym realnym węzłem między pojedynczą osobą a zbiorem”.

Nic ponadto nie potrzebujemy dodawać i w naszym wypadku, gdyż, jeśli chodzi o rolę tej centralnej postaci, uwaga powyższa wydaje się najpełniej syntetyczna. „Realny węzeł” — między człowiekiem, w którym z bohaterów drzemącym, a ogromem stosunków ludzkich, wyrażających się takimi pojęciami jak dwór, rząd, Papież, Francja, sąd, wreszcie lud, Anglia czy Szkocja — „realny węzeł”, powtarzamy, — oto najwłaściwsza nazwa tej funkcji, jaką spełnia uwięziona królowa w wątku dramatu poety niemieckiego.

Strach przed odpowiedzialnością moralną, egoizm i myśl mocarstwa — to generalne linje konstrukcji tragedji, poświęconej głównie, a może i jedynie zagadnieniu misternego płątanienia intrygi, hazardowego zapuszczanie sieci, gry dyplomatycznej. Człowym mistrzem w tych umiejętnościach jest Leicester, przebiegły, szybki w działaniu, inteligentny, niebezpieczny w bezpośrednim starciu, wolny od skręplów. Strach pobudza i zostrza w nim władzę potężnego instynktu samozachowawczego. Gdy gra, to dama jest najwyższym atutem w jego kartach, — króla nie było, a Dudley sam był asem obydwóch królestw. Nie kocha żadnej królowej. Jest on o całe niebo roztrośniejszy od nas, którzy wierzymy, że Marja Sawan — to żywe wcielenie urody historycznej Marji Stuart. On zdaje sobie sprawę z tego, ile ma lat uwięziona, i wcale się do niej nie pali. Jesteśmy przekonani, że wieczory spędza w jakiejś londyńskiej Adrji w stylu szesnastego wieku, podczas gdy obie starsze damy równym oddechem mierzą bieg nocy we wnętrzach barczystych zamczysk, obie pod strażą gwardzystów, chociaż jedna tylko z nich jest wolna. Leicester nie daje się ponieść zapalowi Mortimera, zgubą tego kierowego waleta ratuje siebie w mistrzowski sposób. Jeszcze będąc na okręciu, zmierzającym do Francji, zwycięża, gdy Elżbieta żąda jego przyjęcia. Ma świetny wywiad i nawet takiemu Berleighbowi nie daje się zaskoczyć dowodami swej winy.

A królowa? Ona ciągle, podobnie zresztą jak i Marja, czepia się mężczyzn, szukając w nich oparcia. Aczkolwiek na tezę Talbota: „Słabą jest bowiem istotą kobieta” odpowiada wartko zdaniem o duszach ze stali, to w chwili decydującej cały ciężar wykonania wyroku zrzuci na barki Burleigh'a, Davison'a czy Leicester'a. Lęka się ciągle ludu, ciemnej, mrocznej masy, którą gdzieś za oknami, w dole lordowie muszą kołysać pochlebstwem. Lud, opinia publiczna są bożkiem tych rządów Albionu. Zdaje się, że tutaj Schiller idealami osiemnastego wieku i zdobycami rewolucji francuskiej omaścił zbyt obficie myśli tych despotycznych jednostek. Lud u Schillera to jakby „proletariat” we współczesnej poezji. Magja masy!

To są wszystko perypetje jednostek w płątaninie politycznych wydarzeń. A tymczasem rośnie wielka Anglja. Intuicyjnie czujemy, jak się przemienia w Imperjum Wielkobrytyjskie. Jeszcze Europa ją interesuje i spory sąsiedzkie o miedzę, ale już lotne zagłowce sir Francis'a Drake'a penetrują po dalekich wodach Pacyfiku, aż na południowej półkuli. Zdlawiono papizm i wzmocniono władzę wykonawczą. Szkocja coraz bliższa: głowa Marji Stuart staje się kamieniem, który pozwoli władzy angielskiej przejść na drugą stronę granicznej rzeki Tweed. Już w następnym 1588 roku nastąpi zniszczenie Wielkiej Armady Filipa II-go. Czy Elżbieta na długo może pozostać sama tak, jak ją Schiller porzucił w ostatnim akcie, ze słowami tęsknoty na ustach? Dwa państwotwórcy, Talbot i Burleigh, odeszli: ten ostatni na rozkaz królowej, pierwszy zaś sam, wiedziony wielkodusznością uczuć. Mniejsza zresztą o niego. Był za łagodny. Dzisiaj mógłby z powodzeniem reprezentować Anglię w Lidze Narodów, lub na konferencjach rozbrojeniowych. Jego pięknie formowane, płynne i szlachetne tyrady obiecywałyby wiele małym narodom. Ale współczesny mu Burleigh robiłby swoje. W tragedji Schillera pokojowcy zarzucają Cecilowi w hollu pałacowym płaszc na ramiona. Historja tymczasem mówi, że przez lat czterdzieści aż do swej śmierci był on szefem rządu Elżbiety. To Schiller jednym gestem pokazał drzwi temu lordowi. Więc to Schiller pozostawił królowę samą, jak Atlasa z ogromnem, wciąż rosnącym państwem na ramionach, mimo, że była tylko słabą niewiastą. Czy utrzyma ten ciężar, któremu wielu mężczyzn nie sprostało? Czy podola trudnościom? Jest jeszcze Filip hiszpański i konflikt z Francją (Burleigh wyrzucał w tragedji posła francuskiego z dworu), Papież i eksploatacja po egzotycznych łądach na krańcu ziemi. Anglja bucha dynamiką, ale trzeba mocnych dłoni i sugestywnych oczu, aby utrzymać lwa brytyjskiego. Któż to nie bał się krótkowzrocznej częstokroć opinii i odpowiedzialności, kto się nie wzruszał młodością i pięknością, urokiem niewieścim, kto nie wybaczał wad wychowania, był surowy, pewny, odważny? Czy nie wielki skarbnik William Cecil? Tego, co on reprezentuje, nie może w ogólnym planie Anglii zabraknąć. Jest w nim zapowiedź Cromwell'a. Także purytanin i dłoń z żelaza. Biblja i Intelligence Service. Tak się buduje państwo i umacnia jego potęgę.

Ale Schiller nie pozwolił Elżbiecie wstąpić spowrotem lorda, bo przed pałacem był lud, którego aż po dzień dzisiejszy wielu Napoleonów, Leninów, Mussolinich, Hitlerów czy Dollfussów modelowało na swój sposób, jak brylkę miękkiej gliny. I Elżbieta zostaje sama z cichą tęsknotą na ustach. Poeta romantyczny jest bezlistosny: słyhać stuk podkówkoni, zaprzęgniętych do pojazdu magnata, gdy lupczają w niskiej i mrocznej bramie. Straże prezentują broń po raz ostatni. Poeta stoi, jak z bronzu odlany, w patetycznym geście, ukazującym lordowi drzwi. Oto słodka zemsta poezji na twardej i okrutnej rzeczywistości: zemsta urojona, ale nieśmiertelna. Tylko że dosięgła potężnego ministra dopiero w wiele lat po śmierci, pozwalając mu za życia swobodnie pracować nad potężnym i trwałem dziełem o gigantycznych rozmiarach, któremu na imię Imperjum Wielkiej Brytanji.

JERZY HULEWICZ

O DYSKUSJĘ WYŻSZEJ MIARY

Nie czcym komplementem poczęstowąlem Pawła Hulka-Laskowskiego, wskazując w jednym z moich artykułów na wysoki poziom dyskusji przeprowadzonej między nim a prof. Tadeuszem Zielińskim, ale pełnem podziwem i to nie bez obawy, że obaj znakomici szermierze uznanie moje mogą określić jako nieproszone.

Artykuł Hulka-Laskowskiego w nr. 16 „Pionu” p. t. „Dyskusje i dyskutanci” z tyłu sympatycznymi w moją stronę zwrotami: stwierdza, iż obawy moje były płonne; iż uwaga moja o rycerskości polemicznej nie była zbędna, że jednak warto przeciwstawić się tej fali pomysłi, która od lat przelewa się nam przez głowy tam gdzie ścierają się zdania o idee.

Kwestja poziomu publicznych dyskusyj jest dostatecznie ważna, by raz się przy niej zatrzymać, zarówno bowiem ma ona znaczenie pedagogiczne, jak jest wyrazem stopnia kultury tej części społeczeństwa, która do pewnej kultury rości pretensje; nadto dyskusją nadmiernie popolitą rzuca się i najdostojniejsze problemy i tematy w ścieki uliczne i czyni się je przystępnymi gawiedzi, która wyrabia z nimi co zechce. Szacunek dla omawianego tematu nie powinien rzucać go na użytek komukolwiek przez posługiwanie się jakimikolwiek słowami i dowlanymi obyczajami.

Niestety przeważna część dyskusyj i polemik naszych (z dziedziny sztuki i nauki — że już przemilczę wole dziedziny aktualnej polityki) ciężko grzeszy przeciw zasadom wymiany poglądów, obowiązującym chyba w kołach elity umysłowej i obyczajowej XX wieku.

Boć przecież całe stulecie złożyły się już na to, aby wytworzyć między ludźmi pewną formę porozumiewania się, formę, która obowiązuje.

Lecz — co gorsza — nasze dyskusje publiczne nie tylko co do formy są nieobliczalne, ale nie mniej co do metody.

Polska społeczność czytająca nie stoi jeszcze na tej wyżynie i nie jest na tyle jednolita w swej kulturze, by odrzucić z odrazą to polemiczne śmiecie, którym ją częstują conajmniej w niedzielę różni „sz. autorzy”, którzy ni rozumem, ni kulturą zbliżyć się nie mogą do wyższego towarzystwa umysłowego, szukać więc muszą z niem pokrewieństwa w konflikcie — żeby choć taka była między jednymi a drugimi styczność.

Wyobrazić sobie nie trudno, ile to sprawa przyjemności takiemu uboczemu pętałowi, gdy mógł sobie dowolnie nagadać Miriamowi czy Hulka-Laskowskiemu i gdy to nagadanie zostało wydrukowane.

Bywało wprawdzie w historii, że ginął z ręki hetmańskiej Tatar popolitny, bywało, że hetman ginął z ręki Tatara. Nie mniej hetman pozostał hetmanem, ciura tatarski Tatarem.

Niepomne tego nasze ciury literackie pozabawione często nawet dziid i luków, rzucają się z widłami na hetmanów naszego piśmiennictwa, by choć nastraszyć, by choć tym sposobem znaleźć powinowactwo z dośrodkiem towarzystwem.

Redakcje pism codziennych, ba! część redakcyj czasopism literacko-artystycznych, nie posiadłszy dostatecznego kryterjum kultury, zbyt łatwo udzielają głosu komukolwiek, wyrządzając tem krzywdę zarówno atakowanej jednostce, jak sprawie naszej kultury wogóle.

Przeżyłem osobiście na ten temat niejedno; co kiedyś mnie irytowało, dziś już tylko politowanie budzi.

Gdy wydawałem „Zdrój”, który dziś tak ciepło wspomina Hulka-Laskowski (Bóg zapłać za dobre słowo, od którego już zdawna odwykłem!), jeździł po mnie jak po ślepej kobyle byle — kurjerem. Miałem wprawdzie twardszy grzbiet, niż kurjerowe jeźdźca zad; to też przejażdżek tych wreszcie poniechał.

Nie wspominałbym dziś tej małoważnej okoliczności, gdybym nie spostrzegł, że taki właśnie fason dyskusyjny przy wyraźnych dysproporcjach umysłowych nadaje decydujący ton naszym dzisiejszym dyskusjom.

Osobiście pocieszam się, że nie do takich, jak moja małuczkłość, starali się zbliżyć przy pomocy polemiki i walk różni karzelkowie, więc i mnie przystoi znieść to ze stoicyzmem, a świetnemu memu koledze, który słusznie żali się na niejaki „sz. autora” radzę w jego nastawieniu pójść w moje ślady.

O ważniejszą rzecz sprawa tu się toczy; przechodzę więc do rozważania wewnętrznych i formalnych wartości dyskusyj publicznych w Polsce.

Nie wielu jest u nas, którzy posiadli sztukę dysputowania w wyższym stylu (jak I. Matuszewski, J. E. Skiński, P. Hulka-Laskowski, K. Irzykowski...). Są to szermierze na słowa, którzy znają wagę narzędzia, którym się posługują — szanują słowo (własne i przeciwnika). To też ciężar gatunkowy słowa jest im bronią, którą mocno przygniatają partnera.

Chociażby w którejkolwiek dyskusji taki szermierz uległ, to jednak słowo jego pozostawia silny refleks i trwały wpływ w rozwoju naszej kultury umysłowej; słuszność absolutna pozostaje zawsze pod znakiem zapytania, a ich pierwiastek bojowy, przymuszający do starć myślowych posiada nieocenioną wartość dla narodowej kultury. Klasycznym tego przykładem, to głosna przed kilku laty rozprawa Irzykowskiego p. t. „Niezrozumiałość”. Ostrego ataku tego między innymi i ja byłem obiektem; stanowisku Irzykowskiego byłem i jestem przeciwny, spostrzegając, że niepopolity umysł natknął się na zjawiska twórcze, z którymi rady sobie dać nie mógł, więc wstąpił przeciw nim w szranki. Atak ten zaatakowanym nie przyniósł ujmy, lecz znaczenie twórczości ich raczej podniósł do miary słów (dodatnich czy ujemnych) Irzykowskiego.

Chociaż z punktu widzenia najnowszych założeń pojęciowych tezy Irzykowskiego na ogół nie mogą się utrzymać, to jednak ta jego rozprawa pozostała czemś trwałem w rozwoju naszej kultury.

Policzmy natomiast te polemiczne rozprawy choćby nawet ostatniego piętnastolecia kultury polskiej, które jako wartości trwale przejdą do historii naszego piśmiennictwa. Nie wiem, czy zebralby się jeden tom takich rozpraw, natomiast dość pokazną, lecz małowartościową zebralibyśmy bibliotekę złożoną z prac dyskusyjnych, których wartość ma charakter makulatury.

Gdy rozejrzemy się wśród myśli rzuconych w społeczeństwo przez ludzi, których działanie nie jest związane z kulturą ani w szczególności piśmiennictwem, a ze sprawami społeczno-politycznymi, to znajdziemy potwierdzenie mego zarzutu braku kultury słowa. Nie potrzeba długo szukać przykładu, sięgając poń nawet do tuzów danych odłamów społecznych. Nie chcę ułatwiać sobie sprawy przez przytaczanie tu całego tuzina przykładów pomniejszych, wole rozłożyć na stole operacyjnym człowieka, który za sobą wiódł i wiedzie pełne dwa pokolenia specyficznym nastawionych ideowo Polaków; a jest ich w kraju jeszcze liczba dość pokazna.

Na zjeździe rady naukowej „Stronictwa Narodowego” (dnia 15 b. m.) wygłosił p. Roman Dmowski wielką mowę, która w pogłębieniu jego zwolenników stała się zdarzeniem politycznym.

Przeczytawszy mowy tej trzy czwarte, w których konkretnej myśli doczekać się nie mogłem, wreszcie przez las skarg, biadań i utyskiwań ogólnikowych — że jest źle, dobrałem do zdania, które wyrazić ma coś pozytywnego; czytam dosłownie:

„Program polityki wewnętrznej, jedyny który ma prawo nazwać się narodowym, musi mieć za pierwszy cel budowanie przyszłości narodu. Dla osiągnięcia tego celu musi używać wszelkich wysiłków, musi się rezygnować na konieczne ofiary”.

Przedewszystkiem kiwam głową nad polszczyzną, w której te dwa zdania zostały sprecyzowane (ocenę pozostawiam czytelnikowi, a pretensje może mieć albo p. Dmowski do „Kurjera Poznańskiego” o ile redakcja zdania te mówcy zniekształciła, albo „Kurjer” do p. Dmowskiego, o ile w tak fałtalnej polszczyźnie mowę swą wygłosił).

W tej chwili przywiązuję znaczenie do poczucia wagi słowa p. Dmowskiego.

A więc: program polityki wewnętrznej... musi mieć za... cel budowanie przyszłości narodu. Dla osiągnięcia tego celu musi (kto?) używać wszelkich wysiłków... (jak to się używa wysiłki?)...

Innymi (bardziej polskimi) słowami: Wielki polityk i nagrodzony przez Poznań literat pożyczyl od Kolumba jajko, jako że mu własnego zbrakło, i głosi narodowi swemu tę niezwykłość, że jego polityka musi mieć za cel jego przyszłość. Aby swą przyszłość osiągnąć powinien naród do celu iść drogą właściwą; wszystko inne jest jego zgubą mimo „używanie wszelkich wysiłków”... i mimo rezygnacji „na konieczne ofiary”.

Sądzę, że nawet emerytura polityczna nie zwalnia nikogo od politycznego sensu, ani nagroda literacka m. Poznania od konieczności choćby tylko poprawnego władania językiem ojczystym.

Wyobraźmy sobie jednak, że wódz nie tak znów bardzo znikomego liczebnie odłamu społeczeństwa nie jest obciążony ani brakiem politycznego sensu, ani grzechem wobec języka polskiego, a przyjrzyjmy się wadze słów rzeczonych przez ważnego męża.

Jaką wagę posiada nawoływanie do budowania przyszłości narodu jeżeli nie jest stosowane do słuchaczy małoletnich? Jaką wagę, jeżeli przyszłości tej się nie precyzuje? jaką wagę mówienie o nieokreślonym celu jeżeli nie wskazuje się określonych dróg wiodących do celu?

Czy autor takich słów sam może je odważać poważnie i cenić? Jakimże cudem dzieje się, że cała masa ludzi, którzy przecież mają matury, patenty uniwersyteckie i t. d., idzie za głosiocielem tak niepoważnych, bo pustych słów? Cudem tym to bezmyślność; cudem tym to brak stosunku do słowa. Największe cuda sąsiadują z bezmyślnością.

Trudno! pogodzić musimy się z faktem oczywistym dewaluacji słowa będącego w obiegu.

Kto jednak wczas wojny i kryzysu przeohował u siebie słowo w złocie, ten może drwić sobie z dzisiejszej deprecjacji; on bowiem słowo utrzymuje w pełnej jego wartości — byle go nie podawał na pastwę literackiej giełdy.

Pisarz tej miary, co Paweł Hulka-Laskowski może bez uszczerbku dla swego dobrego imienia zbyć wdrygnięciem ramion wszelkie listy otwarte „sz. autorów”, tem bardziej jeżeli list otwarty jest anonimowy; a jest to tylko wstydem dla p. Jerzego Brauna, jeżeli „Zet” takimi posługuje się metodami polemicznymi.

Radbym zadość uczynił życzeniu Hulka-Laskowskiego i śledził jego „dalsze perypetje”. Nie wiem tylko jak to przeprowadzić technicznie, skoro „Zet” nie abonuje. W okresie bowiem silnej kompresji budżetu zdobywam się tylko na abonament najcenniejszych czasopism. Mimo to zagadnienie naszych dyskusyj publicznych nadal będę śledził i to pod kątem widzenia wymagań, które — jak mierniam — obowiązują w kulturalnych środowiskach.

Z tych wychodzących założeń pragnąłbym tu choć krótko sprzecyzować, czego wolno wymagać od dysputujących, a czego naszym dyskusjom zazwyczaj nie dostaje.

Głównem wrażeniem, które odnosi się, czytając nasze polemiki, to przerost ciętości nad właściwym tematem. Ostrość pióra jest bezsprzecznie dopuszczalna, jak ostrość szpad w pojedynku; to też nie o stopień ostrości kopje kruszę, a o narzędzia walki. W dyskusjach z dziedziny wiedzy i sztuki nie przystoi używanie broni popolitej; rycerzowi średniowiecznemu nie wolno było zastrącić miecza kłonicą; to uchylbało jego czci. O tem zapominają najczęściej nasi dyskutanci. Ci zaś, którzy dość posiadają kultury, by ciętości nie doprowadzać do ordynarności, często jej wybijają zasłaniając istotę sporu, że ginie gdzieś rzeczowość dyskusyjna w akrobatycznych woltach słownych.

Przecież nie konieczne podejmuję polemikę po to, by za wszelką cenę ją wygrać;

czemu nie mam jej podejmować po to, by albo przeciwnika przekonać, albo by on mnie przekonał; wspólne odważenie argumentów ma przechylić szalę zwycięstwa.

Jeżeli temperament pisarski dysputującego poniesie, to to może wybitnie dyskusję ożywić, nadać jej rumieńca, a tem samem pociągnąć leniwe zwykle umysły czytelników do żywych zastanowień. Temperament jednak trzymany być winien na wodzy kultury osobistej i kierowany omawianym tematem. A więc umiar i poważne zastanowienie — oto niezbędne warunki poważnej dyskusji.

Pozatem jedna jeszcze dodatkowa uwaga: dysputujący winien umieć zachować właściwy dystans w stosunku do swego partnera. Nie może przecież pierwszy lepszy z brzoza publicysta rozmawiać np. z Hulka-Laskowskim lub prof. Zielińskim, tak, jakby rozmawiał z samym sobą (przez sen, czy na jawie). Zbyt bowiem wielkie są różnice mózgowe między nim a nimi. Dyskutant kulturalny łatwo wyczuwa te różnice, umie więc w tonie zachować ów konieczny dystans.

Ja osobiście przyznaję, że pasjonuję się do dyskusji i najczęściej brak mi partnerów i sposobności. Pasja ta moja bywała nieraz obiektem zarzutów; pomawiano mnie o charakter wojowniczy.

Począłem zastanawiać się nad słusznością tych zarzutów, poczem tylko w malej części słuszność ich uznać mogłem. Poznałem bowiem wartość dyskusyj stojących na wysokości zadania.

Czułem, jak podczas przeprowadzanego sporu myślowego czy ideowego myśli narastają, jak krystalizuje się wyraźniej, to co dotąd było mętne i niepochwytne, jak myśl rodzi myśl, jak podczas walki wpadam na argumenty, które mi dotąd nigdy nie przychodziły do głowy, — słowem czułem jak dyskusja wyższej miary zapładnia myśl i wyobraźnię.

Dyskusja może mieć dla rozwoju umysłowego i duchowego większe znaczenie, aniżeli dobra książka. Nie unikajmy jej przeto, ale hodujmy kult dyskusyj.

Nieraz też brała mnie ochota zaapelować do ludzi wyższej kultury: poniechajcie sporów i utarczek z byle kim! szkoda każdego cennego słowa waszego, szkoda waszych myśli! Stwórzcie zespół elity umysłowej, w tym zespole ludzi wyższej miary niech się ścierają poglądy i idee.

Apel taki w naszych warunkach nie dałby jednak żadnych wyników, bo u nas wartości myślowe i duchowe bywają w najlepszym wypadku oceniane wtedy dopiero, gdy zewłok doczesny zjedzą już robaki — za życia wartości te ustępować muszą innym kryterjom, kryterjom popolitym życia, a zwłaszcza umiejętności rozpychania się lokciami.

Dlatego też takiego apelu nie rzucam — bo zresztą wierzę, że prędzej czy później wartości same układają się w historii tak, jak tego wymaga rozwój narodowej, czy ludzkiej kultury.

„Zdrój”, tak życzliwie wspomniany przez Hulka-Laskowskiego a tak skwapliwie przez milczanych przez dzisiejszych wodzirejów naszej literatury, walczył przez pięć lat o poziom publicznych dyskusyj. I jeśli nieraz w samotności myślałem sobie, że ten wielki wysiłek mej pracy społecznej na niwie kultury okazał się daremny, to przekonuję się, że zwątpienie moje nie zupełnie było słuszne, skoro człowiek taki jak Paweł Hulka-Laskowski wyznaje, iż „Zdrój” w swoim czasie dał mu bardzo wiele.

Takie dobre słowo wynagradza przecież wszystkie zwątpienia, bo jeśli „Zdrój” mógł dać wiele takiemu umysłowi, w takim razie spełnił swe zadanie. Dowiadyuje się o tem ku wielkiej mojej radości po latach trzydziestu.

Nie zwracajmy jednak naszych spojrzeń ku przeszłości. Myśli nasze niechaj biegną przed się, wzajemnie porywając się wciąż wzwyż. Kierunki myśli, które się naszym wówczas przeciwstawiły zdążyły się także poklasyfikować; wiadomo co z nich ostoi się jako wartości trwałe, toż samo wiadomo o ideach naszych. Czas, by substrat myśli naszego pokolenia w swych sprzecznościach i dopełnieniach ujawnił swą twarz, któraby wyraźnem okiem spojrzeć umiała w młodse pokolenie. Tego zaś dokonać może dyskusja wyższej miary, która przeprowadzona jeszcze nie została.

HANNA SKARBEK-PERETJATKOWICZ

TEATR W INDJACH

Przyznam się, że do skreślenia tego artykułu — zostałam poprostu sprowokowana; nie przypuszczałam bowiem nigdy, że tyle osób w Europie będzie się pytało o „teatr w Indjach”. Byli i tacy, którzy nie interesowali się niczem ponadto.

Teatr w Indjach? Był to dla mnie swego czasu najtwardszy orzech do zgryzienia. Bo i gdzie go było poszukiwać, u licha?! — Skoro najstarsi mieszkańcy tego kraju (mam na myśli wciąż Anglików) orzekali niejednokrotnie — że „niema tu wcale takiego, a jeżeli czai się gdzieś ukryty — to napewno psawat!!!” — Oczywiście mieli na myśli tylko ..widowiska współczesne. Tego rodzaju rozrywek nie brak w Indjach, każde bowiem większe skupisko ludzi z Europy (to znaczy z Anglii!) niechybnie postara się zaraz o lokalną trupę amatorską, wystawiającą ku ucieleszeniu wychodźców rozmaite pocieszne sztuczki i sztuczki.

Co było warte oglądane przeze mnie widowisko par excellence hinduskie — niech osądzi czytelnik!

Pamiętam, godzina była przedwieczorna jednego z najkalarowniejzych dni września, gdy po czteromiesięcznej tropikalnej ulewie, nastaje okres niezamąconej pogody, dni jak złoto bursztynowych; nocy jasnych, kryształowych, nie tak już zabójczo parnych. Wszędzie dookoła jest jeszcze bujne, zielone, nie zmaltretowane posuchą i spiekotą — która powoli nadsięgnie za parę miesięcy. Zda mi się że byle jaki badyl wetknięty w wilgotną, urodzajną ziemię — okryje się wnet czarodziejskimi kielichami. Na polach zaczyna się żmudne ryzobranie i orka, z gajów mandarynkowych i bananowych — zwózka owoców.

Piękne są Indje, najpiękniejsze, właśnie w miesiącach naszej jesieni!!

Jechaliśmy właśnie któregoś podobnego dnia (kierując się ku północy), w stronę Lahore, stolicy Pendżabu — „kraju pięciu rzek”. — Jechaliśmy szerokim gościńcem, wysadzonym po obu stronach stuletniami drzewami mangurowymi, których owoc soczysty, a słodki, bezański a ulubiony przez wszystkich bez wyjątku tubylców — staczał się ciężki, przejrzały, ogromny jak gruszka, pod stopy przechodniów.

Mijałymi wioski i osiedla, przykucnięte gęsto przy trakcie, tak bliźniaczo podobne do siebie, nędzne, ruchliwe, bezbarwne — że wszystkie zdały się być dalszym ciągiem — jakiejś jednej, pierwszej, widzianej. Garbate krowy i wielbłądy, wychudzone dzieci i psy; obciążone osły; owce i kobiety — odbywające sto razy na dzień wędrówkę do studni — wszystko to ślukało się pośrodku jezdnii — w kurzu, ciasnocie i smrodzie.

Naraz uwaga nasza została zafrapowana pustką i ciszą panującą na głównej arterji życia pewnego osiedla. Zdało się być wymarłe. Cholera, malarja czy dzuma? — zacyzyliśmy zgadywać, zresztą nie bez racji. Plagi tego rodzaju grasują stale w „tych krajach” i dziesiątkują mieszkańców.

•Pomyliliśmy się jednak.

Zawdziejając elokwencji policjanta hinduskiego, stojącego wytrwale na swym posterunku — dowiedzieliśmy się, że z powodu święta Dasserah, — odbywa się na majdanie za wioską — widowisko religijne — „Ramajana” — które trwa... ósmy dzień i w którym bierze udział przynajmniej połowa obywateli, tego jakiegoś (cudownego!) osiedla, którego nawet nazwy nie zdołaliśmy się dowiedzieć należycie, ani zapamiętać. Pojechałszy we wskazanym kierunku i przystanąwszy skromnie na uboczu. Maszyna nasza — rzecz prosta — wzbudziła lekkie zaniepokojenie wśród „publiczności” a zapewne i artystów — lecz przedstawienia na szczęście nie przerwano. Szło całym pędem...

Boski Rama, wygnany z domu rodzicielskiego dzięki knowaniom nieonej macochy, — w towarzystwie młodocianej swej małżonki — Sity, (wzór cnót niewiast hinduskich) i brata Lakshmana, po czternastoletniej tułacze w pustyniach i dżunglach, otoczony wyznawcami i uczniami dociera wreszcie kresu swej krzyżowej wędrówki i stacza ostatnią, zwycięską, (na brzegach świętego Gangesu) z królem szatanów, przewrotnym

Rawanem, o okrucieństwach którego, niewarłto, rzecz prosta, wspominać.

Święta Dasserah (Dassera) przypadają właśnie na drugą połowę września w rocznicę świętego zwycięstwa Ramy nad niszczycielskimi duchami — których ucieleśnieniem jest Rawan, — i jego triumfalnego powrotu do domu rodzicielskiego, do państwa Ayodya. Trwają dziesięć dni.

Scenariusz — otwarta, szeroka polana, zaledwie dwa — trzy podja, wzniesione bez najmniejszej troski o symetrię; tak samo przypadkowo ustawiono kilka ław dla



Uroczystości w Dasserah Olbrzym Rawana

dostojniejszych gości miasteczka i dam — w zasłonach na twarzach. Żadnej dekoracji. W perspektywie, na pagórze — pałac szatańskiego Rawana i jego posąg potężnych rozmiarów, o dziewięciu bestjańskich twarzach i dziewięciu rękach przy każdym ramieniu. Pałac i posąg, misternie sklecone z bambusów i barwnej tektury, — mają być spalane ku ucieleszeniu w ostatnim, dziesiątym dniu zwycięstwa.

Publiczność — kto żywa i zdrow z osiedla, a też zapewne i okolic — przykucnęła prosto na ziemi dookoła. Nastrój święteczny. Na podjum raz po raz pojawiają się brodac „kapłani” i deklamują, raczej śpiewają przeciągłe wersety z „Ramajany”. — Zaledwie soliści — Rama, Sita, Rawan i Lakshman — oraz garstka kapłanów i wyższych wojowników — jest ucharakteryzowana i ustrojona odpowiednio; Sity — gra wyrostek; reszta tłumu — starcy, dzieci i kobiety, z najniższej zapewne kasty, (nie noszące puzzle) — to amatorzy ze wsi dokompletowani co dnia w zwyczajnych swych białych, przybrudzonych szatach i różnokolorowych sari.

Przedstawienie rozpoczyna się każdego dnia popołudniu i trwa do zachodu słońca; próby z tłumem statystów (nie, raczej aktorów z Bożej łaski!) odbywają się codziennie o świcie.

Z powodu braku autentycznej rzeki (Gangesu) spory kawał białego muślinu, szerokości kilku jardów rzucony jest wdzięcznie wzdłuż polany i ginie w autentycznej dżungli, lasku, otaczającym ze wszystkich stron majdan.

Przedstawienie osiąga zenitu, gdy boski Rama Chandra ze swoją „armiją” przeprawa się przez Ganges, ściągany po piętach przez wyznawców Rawana, z okrutnym swym, dziewięciotwarowym i osiemnastoramiennym przywódcą na czele.

Gdy w nurtach rzeki topią się ludzie, dzieci drą się w niebogłosy, kobiety lamentują i uciekają pełne przerażenia istotne — do dżungli, a waleczni wyznawcy Ramy walą naprawo i nalewo, tłum zaś wiódzów dopomaga krzykiem aprobaty zwycięcom, — śpiew kapłanów na podjum dochodzi również najwyższego natężenia...

„O Boże! bądź z nami zawsze i wszędzie i nie opuszczaj nas, gdy przepływamy

przez ocean życia, aby wreszcie połączyć się z tobą!!!

He!ż uroku i sensu w tem widowisku!

Niema sceny, ani widowni, gra tu każdy, kto przybył: i ten który przeprawiał się przez świętą rzekę, i ten przykucnięty na trawie z „oceanu życia”, a każdego stać na wielką radość lub najszersze zasmucenie słowem na bezpośredni stosunek do widowni. I w tem tkwi chyba najistotniejszy jego urok!!

Ale słońce chyli się ku zachodowi: scenariusz i rzesze ludzkie plawią się w roztopionem zlocie, dżungla — granatowieje, niebo zaś staje się zupełnie koralowe. Wśród widzów poruszenie. Pierwsze powstają kobiety. Niby na dany przez kogoś znak, jedyna za drugą, i te z widowni, i te ze „sceny” suną wolno, majestatycznie, zupełnie jak uszczęśliwione, suną z drobiazgiem swym ku wsi, ku studniom, po wodę — na ostatni dzienny posiłek, który ma być spożyty natychmiast po zejściu słońca.

Przedstawienie skończone.

Jakiś młodzian w europejskich spodniach i zabójczo pasiastej kamizelce, z nieodowanym kosmykiem czarnych włosów na czubku głowy i bosa — zresztą jak wszyscy dookoła, przystaje nieśmiało koło maszyny. Tak, mówi po angielsku. Pochodzi z tej wioski. Zadaję mu błyskawicznie kilka pytań — pragnąc skorzystać z nadarzającej się okazji. Tak, aktorzy grają gratis, najwyższej kobiecie i dzieci otrzymują lakocie. Bardzo chętnie biorą udział w przedstawieniu. Dawniej główne role grywane były wyłącznie przez Braminów, od paru lat gra każdy, kto czuje ku temu inklinację, w tym roku — grają najbogatsi kupcy z miasteczka, dlatego też szaty są okazalsze i nowiusienkie brody... Najciekawsza akcja odbędzie się w dziesiątym dniu święta Dasserah, gdy późno w nocy spłonie zamek Rawana i jego posąg. Czy przybędziemy również??

Ale przyjaciel mój, najmilszy gentleman pod słońcem, z którego gościnności korzystam — budzi się z drzemki i traci już resztkę swej flegmy anglosaskiej. Ma tego wszystkiego dosyć!!

Zegnam więc uprzejmego rozmówcę, zapewnią go że chętnie powrócę raz jeszcze i ruszamy dalej z szybkością stu koni.

— To było chyba najnudniejsze, moja droga, co danem ci było tu oglądać! — ziewa smacznie mój jasnowłosy purytanin i zapala fajkę.

Teatrów hinduskich moderne z repertuarem sztuk współczesnych prawie zupełnie niema w Indjach, chyba po wielkich miastach w okresie sezonu, na ślad ich jednak nie natrafiam. Przechowują się natomiast dawne formy teatru, misterjowe.

Podczas świąt, lokalne trupy pierwszorzędných nierz artystów odgrywają epopeje historyczne lub sceny nieśmiertelnej Ramajany. Tak np. w pięknym mieście Amritsar (znowu w Pendżabie) podczas świąt Dasserah, lokalny Scouts Dramatic Club odgrywa sceny „Ramajany” lub b. popularnej dramy socjalnej znanej pod nazwą „Pakhandi Samaj”. W Burmie zaś, również miejscowy, najstarszy związek — Rangoon Scouts — wystawia z ogromnym przepychem sceny z „Bhudda Thala Nipat” (mieszkańcy Burmy są buddystami) i epopei historyczne. Skauci popisują się również tańcami rytualnymi i muzyką. Dziewczęta nie biorą udziału w tych przedstawieniach.

Kino hinduskie rozpoczyna dopiero trzeci rok swej egzystencji, ale jest już dźwiękowie. Jest sensacją i cieszy się niezmiernym powodzeniem. Hindusi gotów jest odwiedzać kino co dnia, a czasie mu nigdy nie zbywa; gotów całe wieczory do późnej nocy medytować przykucnięty na ganku teatru — jeżeli brak mu paru ann, aby wejść do środka.

Nie wszyscy oczywiście rozumieją tekst, skoro więcej tu odmiennych narzęczy niż gubernij, ale śpiew monotony, zawodzący, nie mający zda się początku ni końca i tańca wschodnie muszą być niezawodnie w każdym obrazie. Tematy najczęściej są zaczerpnięte z eposów historycznych i ksiąg religij-

nych. Aktorzy, posługując się najprymitywniejszymi środkami — grają uroczyste, w tempie niezwykle wolnym, z namaszczeniem. Porywa tylko niezwykle plastyczna wymowa rąk, twarze natomiast suto uszmkowane, ucharakteryzowane wszystkie na jedną modłę, i brodate — wyglądają jak maski. Każdy czarny charakter budzi grozę na sali — wśród tych dużych dzieci. Seanse trwają po kilka godzin, często 2 — 3 dni. Hindusi nie uczęszczają prawie zupełnie (z wyjątkiem garstki elity miejscowej) na „talkies” ang. Podobno nie rozumieją obrazów europejskich: ani akcji, ani konfliktów dram, ani momentów komicznych. Niezrozumiałą jest dla nich gra aktorów i aktorek, i wogóle sposób bycia kobiet europejskich!! Woła więc nie oglądać tych cudactw. Anglicy vice-versa nie znoszą filmów hinduskich.

Do r. 1925 w Indjach nie było zupełnie współczesnych form teatru. Również kobiety nie brały udziału w przedstawieniach, których tematy czerpano wyłącznie z ksiąg religijnych i eposów historycznych. Dziś w każdym większym mieście są lokalne trupy hinduskie, odgrywające przeróbki ze współczesnej literatury beletrystycznej. Rabindranath Tagore robi próby wystawienia na scenie swoich utworów.

Pierwszą aktorką hinduska była kobieta z najwyższych sfer towarzyskich (r. 1925). Za nią poszły inne, i dziś spotkać można już liczny zastęp artystek, śpiewaczek, (rewolucjonistki w całym znaczeniu tego słowa).

Z chwilą, gdy kino hinduskie otworzyło podwoje dla kobiet, wszystkie aktorki porzuciły scenę dla srebrnego ekranu. Głównym tego powodem — jest większe wynagrodzenie, większa popularność i korzystniejsze warunki pracy, trupy hinduskich aktorów wiodą bowiem nędzną żywot, wędrując z miasta do miasteczek i grając w najbardziej prymitywnych warunkach, najczęściej bez żadnej zapłaty.

Międzynarodowy konkurs filmowy

Międzynarodowy komitet dla propagandy artystycznej i literackiej za pośrednictwem filmu (C. I. D. A. L. C.) ogłasza doroczny konkurs na scenariusz, nadający się do zrobienia filmu mogącego przysłużyć się sprawie rozwoju kultury ogólnoludzkiej i wzajemnego zbliżenia narodów na zasadach pokoju, postępu i braterstwa.

Dla uniknięcia możliwych nieporozumień przy interpretacji tak określonego charakteru scenariusza, należy zwrócić uwagę na komentarze, wypowiedziane w r. 1933 przez p. Marcellego L'Herbiera, doradcę technicznego C. I. D. A. L. C.: „Rozpatrując nadesłane na konkurs scenariusze (w r. 1932) jury było zdumione... że większość tych prac, napisanych rzekomo na chwałę pokoju, zajmowała się wojną. Pragnęlibyśmy żywo, aby przyszli autorzy znaleźli inne tematy. Niebrak ich, gdy idzie o dobrodziejstwa kultury artystycznej, o harmonijne współzycie międzynarodowe, o postęp wiedzy ludzkości; będą one bliższe dewizie Cidalca? „Zbliżenie narodów za pomocą filmu”, niż tematy, ukazujące hekatombę ofiar bombardowania, ataki na bagnety i fale gazowe... Uczestnikom konkursu radziłbym więc nie robić w scenariuszach żadnych aluzji ani do ostatniej wojny, ani do przyszłych wojen. Mówcie w nich o solidarności ludzkiej pracy, o walce dla poprawy życia i dla utrwalenia szczęścia ludzi!”

Nagroda wynosi 50.000 franków francuskich. Ubiegać się o nią mogą autorzy scenariuszy oryginalnych, nieogłoszonych dotychczas w druku i nieerealizowanych w filmie. Nagrodę przyznaje Międzynarodowy Sąd Konkursowy Cidalca, obradujący w Paryżu, za najlepszy spośród scenariuszy, zgłoszonych przez sądy konkursowe poszczególnych państw. O ileby żaden ze scenariuszy nie zasługiwał na nagrodę, Główny Sąd Konkursowy może wyróżnić wybitniejsze z nadesłanych prac, przyznając im osobne premje w wysokości 10.000 fr. Takich premj może być najwyżej pięć.

Jury polskie wyłonione zostało przez Zarząd Polskiego Klubu Literackiego (P. E. N. Clubu) w składzie następującym: Zofja Nalkowska, z Polskiej Akademji Literatury, Antoni Slonimski i Bruno Winawer.

Prace konkursowe, pisane o ile możności na maszynie, należy nadsyłać do sekretariatu Polskiego Klubu Literackiego Warszawa, ul. Wspólna 5 m. 4) najdalej do dnia 30 września b. r. zaopatrując je w godło i dołączając do nich w zamkniętej kopercie nazwisko, imię i dokładny adres autora. Scenariusze wyróżnione przez polski sąd konkursowy zostaną, po przetłumaczeniu na język francuski, przesłane do Paryża, z zachowaniem, przewidzianem w warunkach konkursu, anonimowości autorów.

OLGIERD GÓRKA

PODZWONNE DYSKUSJI

Schopenhauer w „Sztuce prowadzenia sporów” (tłum. Lorentowicza 1893) doliczył się 33 rodzajów „wybiegów” dla zwalczania oczywistych prawd, niemniej jednak nie przewidział całego szeregu możliwości, z którymi spotkałem się przy zwożeniu moich poglądów per fas et nefas.

Nie przewidział między innymi Schopenhauer np. wybiegu raz za razem w obecnej dyskusji stosowanego, t. j. stwierdzenia przez polemistów w moim imieniu, drukiem i w poczytnej prasie, czegoś zupełnie, wręcz diametralnie, przeciwnego temu, co drukiem wypowiedziałem, by następnie — jak się sam we wstępie do książki wyraziłem, — takie zmyślone twierdzenia „z oczywistym powodzeniem w swoich artykułach drugiego obalać”. Pomijając w dalszym ciągu naprowadzone przykłady, ograniczę się na razie do przypomnienia, że pierwszy z historyków uwypukliłem pacyfistyczny kwiecizm polskiej szlachty i jej brak wojskowego przygotowania, jako główny powód upadku Polski (por. moja Dziej. Rzecz. a racja str. n. połudn. Wschodzie str. 281), a artykuły o „Ogniu i mieczem” rozpoczęłam napisaniem „tchórzliwego pacyfizmu” — mea ipsissima verba — w naszej przeszłości (por. Pion I, Nr. 3 str. 7). Mogłem wobec takiego ujęcia spraw liczyć się nawet z zarzutem ultramilitaryzmu, z objęciem kaprałowskiego symplifikowania złożonych zjawisk historycznych, ba nawet z suppozycją intencji preparowania naszych dziejów na benefit „Strzelca”, czy P. W. Ołóz ku bezdennemu memu zdumieniu spotkałem się z zarzutem — nie mniej nie więcej — tylko literatury pacyfistycznej i t. d. Jeśli teraz wyczytam, że np. zdemolowanie chóru kościelnego ktoś nazwał drukiem wzruszającym wypadkiem wykonywania praktyk religijnych — nie zdziwię się więcej.

Szereg podobnych wypadków skłonił mnie nawet do wydania w książce moich artykułów i odpowiedzi polemicznych p. t. „Ogniem i Mieczem a nieoczywistość historyczna” (Warszawa, 1934, za którą stałe moje artykuły cytuję), by wszyscy ludzie dobrej woli mogli się przekonać, jak dalece inną jest treść i intencja tego, co pisałem, od tego, co na ten temat wypisuje większość moich oponentów, czy pewna część prasy.

Cała ta taktyka, wraz z najpospolitszym wybiegiem (u Schopenhauera Nr. 1) tak zwanego „rozszerzenia dyskusji” przez zupełnie wobec treści i intencji mych artykułów nieuzasadnioną jakąś „obroną” Sienkiewicza, Trylogii, i t. d. przed „napaściami”, — ma swój zupełnie jasny powód, który w tem pojęgłym słowie dla tego rodzaju polemik podkreślić i uwidoczniać. Przedzie do tego jednak dopiero w ogólnej części zamknięcia takich dyskusji z mej strony, przedtem bowiem jeszcze muszę przebiegnąć pewne szczególne historyczne spory, prosząc czytelników o cierpliwość dla tego „w kółko Macieju”, spowodowanego przez swoistą dialektyczną sofistyką pewnych moich polemistów.

I.

Celowo wycelowałem przez dłuższy czas z udzieleniem szczegółowej odpowiedzi na dalsze historyczne zarzuty pp. polemistów, by szeregiem tych, naogół nieistotnych, występów nie rozwałkować bez korzyści dla zagadnienia i wiedzy, ale razem krótko o mówić, a to niezależnie od dyskusji o całości kształcie spraw naszej historjografii tych czasów, jaka rozegrała się na łamach „Gazety Polskiej” przez moje odpowiedzi na odnośne artykuły gen. M. Kukiela i prof. Wł. Konopczyńskiego w „Kurjerze Warszawskim”.

Z tytułu obszerności wywodów pierwsze miejsce w polemice muszę wyznaczyć p. magistrowi E. Lataczowi, który sprezentował w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” trzy wielkie artykuły polemiczne p. t. „Rewizjonizm dra Górki a rzeczywistość historyczna” (Nr. 78, 85 i 97 z 19. III, 26. III. i 9. IV. b. r.). Łącono zrozumieć wszyscy, jak już mnie samego poczyna to nudzić, że większość moich polemistów nie umie wymyślać chociażby nowych tytułów i stałe mnie rządy „krzywem zwierciadłem”, rzeczywistością historyczną „odwracaniem obrazu”, „rewizjonizmem”, „ostremi nabojami” itd. itd., t. j. kolekcją nowych, lub obrazowych wyrazów, które sobie tak samo zapożyczają ode mnie, jak wskazówki źródłowe i bibliograficzne, przyczem zamiast dziękować, uparcie wymyślają ich autorowi.

Wobec rozmiarów uwag p. Latacza pójdę w odpowiedzi skokami bojowymi i przykładami, gdyż inaczej cały kwartał „Pionu” na odpowiedź nie wystarczałby. Przedewszystkiem więc cytaty dla charakterystyki podobnych polemik! Np. stwierdziłem w swych artykułach o Wiśniowieckim najdobitniej, „gdy wreszcie pod Beresteczkiem nakłania pospolite ruszenie do dalszego marszu na Ukrainę, wpływ jego zawodzi całkowicie, co zresztą należy tłumaczyć rozwiązaniem długo skutecznego jej spółki z Hieronimem Radziejowskim” („Ogn. i Miecz. a rzeczywistość hist.” str. 28). Wobec tak jasnego wypowiedzenia z mej strony pisze p. Latacz, ni mniej, ni

więcej: „a teraz słów parę co do twierdzenia Dra Górki, jakoby Wiśniowiecki, będąc w zmwocie z Radziejowskim sprawił, że pospolite ruszenie odmówiło swego udziału w dalszym pochodzie na Ukrainę”, t. j. po bitwie pod Beresteczkiem („Ilustr. Kurj. Codz. Nr. 97 dod. str. VII). Po takim stwierdzeniu następuje potok djabelnie oklepanych wywodów i cytatów, wykazujących szerokim kołom czytelników Ilustr. Kurj. Codziennego, jak dalece ja się nie znam na historii tych czasów, bo przecież Wiśniowiecki namawiał szlachtę do dalszego pochodu i t. d. i t. d. Wsławiony swoimi datami historycznymi do datek „Ilustr. Kurj. Codz.” drukuje te kołubryny, bo jak z tych wszystkich popisów widać, nikt tam bliżej wogóle nie wie, o co chodzi, jaką wartość i wagę mają poszczególne dane, podobnie, jak nikt nawet nie zauważył, że ten fakt z pod Beresteczka jest w mym systemie rozumowania właśnie jasnym dowodem, że „wpływ i więźność Wiśniowieckiego u szlachty i wojska była wyłącznie charakteru destrukcyjnego” (m. książka I. c.). Nie pomogło nawet wytłuszczenie w druku (swego czasu) mych odnośnych wypowiedzeń się, skoro dla celów huku, trzasku i poklasku dla rzekomej, a tak niepotrzebnej i kiepskiej, obrony Sienkiewicza walczy się systematycznie per fas et nefas zapomocą teroryzowania frazesem i zmyślaniami. Pocieszem zaś jest zaiste przytem, że p. magistr Latacz właśnie przy tym ustępie i za te swoje wywody nazwał sam siebie „poważną krytyką naukową” (Nr. 97, str. VII), przed którą moje wywody ostać się nie mogą. Widocznie można kpić z ludzi drukiem w żywe oczy!

Powyższy chociażby przykład uwalniałby mnie od obowiązku zajmowania się wywodami p. Latacza. Niemniej jednak nie robię z tego prawa użytku, gdyż: a) chcę od dawna i koniecznie zrobić jakieś ustępstwo moim oponentom, b) dać krótką lekcję metodologiczną p. magistrowi Lataczowi et consortes. Ceniąc to, że p. Latacz pracował, jak mógł i umiał, a w zakresie kronik zdobył się na pewien większy wysiłek od poprzedników, pospieszenie i z całą przyjemnością przyznaję mu, że ten brak zbroid i wyciągnięta szabla Wiśniowieckiego pod Beresteczkiem nie jest wzięta, jak podałem, z fantazji Kubali, ale — jak to p. Latacz wykazał (Nr. 85, str. VI) — z fantazji, czy obrazowości kronikarzy, na których się opierał. Zbyt mało przykładam wagi wogóle do obrazowości opisów kronikarskich i dlatego tego mało ważnego szczegółu nie zestawiałem z wszystkimi kronikami. Cieszę się, że mogą to drukiem wyznać, gdyż od początku byłem zdecydowany w razie sprezentowania mi dowodów robić koncesje oponentom i wraz z nimi dochodzić do obrazu rzeczywistości lat 1648 — 1651. Jak dotychczas jednak, musiałem ustąpić tylko przez potwierdzenie dwóch widocznych błędów drukarskich; teraz dodaję tę wyciągniętą z pochwy szabły Wiśniowieckiego, jako wziętą z kronikarzy, ale pozatem, — przy najlepszej woli — żadnych dalszych powodów do ustępstw, mimo poruszenia przeczemnie tak wielu nowych momentów, jak też tych setek, atakujących mnie kontrargumentów, — znaleźć nie mogę.

Inne punkty wspomnę już tylko mimochodem. O konfederacji w Lublinie w r. 1649 wspominałem w następujących słowach: „po Zbarażu wybija się istotnie Wiśniowiecki w szybkim tempie... przez konfederację wojskową w Lublinie” (o. c. str. 26). Oczywiście wobec przedstawienia spraw zasadniczych nie bawiłem się w debaty, czy złączenie się wojska przeciw skarbowi Rzeczplitej doprowadziło do konfederacji, jak podał ks. Frąś („Obr. Zbar.”, str. 70), czy tylko groziło zawiązaniem takiej konfederacji, jak to obszernie i słusznie przedstawia Tomkiewicz („Jer. Wiśn.” 346), którego książkę przecięcie znam. Istotny bowiem sens sprawy wobec czytelników tkwił dla mnie oczywiście w tem, że Wiśniowiecki ponownie wypłynął na fluktach swej destrukcyjnej roli w wojsku polskim, podobnie, jak w r. 1648 we Lwowie. Gdy trzeba się było bić do upartego w Zbarażu, to wodzem był Firlej, gdy trzeba było po Zbarażu groźbami konfederacji wymuszać pieniądze na Rzeczplitej, to wodzem był Wiśniowiecki, zdobywający sobie przy tej okazji nowy, wysoki „traktament” dla siebie.

Rozprowadziłem się nieco obszerniej nad tym szczegółem, a to dla charakterystyki podobnych polemik, którym nie chodzi o jakieś dotarcie do podstaw dla celów pozytywnych ocen, wymaganych przez ogół czytających. Sprowadzając się one jedynie do prób sofistycznego wyinterpretowania wyrazów, do rozdzierania szat na temat kropki nad i, a z zupełnie pomijaniem rzeczy istotnych i zasadniczych. Ma to niewątpliwie ten skutek, że pisząc moje wywody jestem zupełnie spokojny o ich oparcie w źródłach i logiczne, natomiast już przy korekcie łamię sobie głowę, gdzie jakaś sofistyka, czy „dialektyka krytyczna” (według Schopenhauera) znajdzie lukę, wykryje ewidentną pomylkę w druku, lub nie dość jasne, aż do granic rozwickłości powiedzenie, by za-

grzmieć wobec niezorientowanych czytelników pozornem, a krzykliwe „hallali”.

Dlatego zamiast szczegółowych polemik o Beresteczku mała lekcja metodyki. P. Latacz posługuje się materiałem a) jednostronnym, b) ulamkowym, a mianowicie polskiem kronikarstwem. Gdyby p. Latacz umiał krytycznie czytać chociażby moje artykuły, to byłby zauważył, że z zasady nie korzystam z kronik, jako z materiału drugiej klasy, nawet tam, gdzie one mogłyby popierać moje tezy, jak np. bądź co bądź cenniejszy Kundawski w sprawie oczekiwania Wiśniowieckiego przez hetmanów pod Korsuniem. Powodem takiej metody postępowania — przy rzucaniu podstawowego zarysu spraw — jest metodologiczna konieczność odróżniania wagi gatunkowej relacji bezpośrednich i dla celów praktycznych, a więc w tej, czy innej formie materiału dyplomatycznego, od opracowań historjograficznych, z których można korzystać dopiero po ustaleniu tendencji, stopnia prawdopodobności i t. d. Niewątpliwie nasze kroniki XVII w. zawierają także szereg faktycznych danych, ale z zasady nie mają żadnych cech obiektywności, a w sprawach poszczególnych magnatów koloryzują bez skrupołów. By wytłomaczyć szerokim kołom — spełniają one naówczas niemal rolę odpowiednika tendencyjnej prasy, z czasów wojen i rewolucji, która także jest i będzie w przyszłości materiałem historycznym, ale pomocniczym i wymagającym krytyki, oraz oceny.

W związku z tem jasnym jest, że różnię się od początkowych szkiców Kubali, z okresu, w którym jeszcze nie opanował metody i krytyki źródeł, nie tylko innym punktem widzenia, ale przedewszystkiem zupełnie innym sposobem ustosunkowania się do materiału historycznego i innym ustawianiem spraw, w którym decydują stwierdzone fakty, a nie takie, czy inne pochwały, lub nagany rozmaitych kronikarzy i t. p., nie mających wogóle pretensji do jakiegóż obiektywności. Jest to „a. b. c.” fachowego historyka średniowiecza, naogół niestosowane dotychczas przez naszą historjografię XVII w., fakt, który wytknąłem w polemice dr. Tomkiewiczowi, jako najważniejszy pod jego adresem, a niewykonany przez niego, postulat.

Nie jest moim zadaniem, uczyć p. Latacza na podstawie jakiego materiału i jak mogłyby opracować Beresteczko, zwłaszcza że się nie spodziewam za to wdzięczności. Dowody na to dał p. Latacz, wytykając mi, jako argument przeciw moim wywodom, że Kubala był samoukiem (Nr. 85 str. VI), o czym się dowiedział oczywiście ode mnie, gdyż przed moimi artykułami, na te poprzedniej literatury, nie mogłoby mu to przyjść na myśl. Podobnie bardzo to pięknie, że p. Latacz za moimi wywodami dla bitwy pod Beresteczkiem zjechał odrazu z dawnych czterystu tysięcy na „sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi walczących” („Ill. Kurj. Codz.” 97 str. VII); gdy doda jeszcze dziesiątę do zapożyczonych ode mnie 220.000, to będzie wszystko w porządku! Niewątpliwie bowiem szereg punktów z wywodów p. Latacza byłoby bardzo ciekawych, czy rewelacyjnych, ale — gdyby się były ukazały przed moimi artykułami, tem więc brzydsze jest, że rozspuję się w wyrażeniach polemicznych w stylu poprzednich artykułów na łamach „Il. Kur. Codz.” w tej sprawie. Sądząc wreszcie, że będzie bardzo korzystnie, jeśli p. Latacz dla tej właśnie „poważnej krytyki naukowej” (!) przewie na pewien czas swe badania archiwalne, a w miejsce tego postuduje głębiej „Lehrbuch der hist. Methode” Bernheima i „Historiékę” Handelsmana, a także, — jeśli zamiast popisywać się najbardziej znanymi cytatem z Kunakowa, zapozna się choć trochę z literaturą ukraińską i wogóle z książkami, drukowanymi alfabetem nielacińskim, by się nie powtórzył wypadek z ks. Frąsiem, który tym brakiem zepsuł swój poważny wysiłek w pracy p. t. „Obrona Zbaraża”.

W odniesieniu do przebiegu faktów stwierdzam krótko: lewem skrzydłem dowodził pod Beresteczkiem Kalinowski, a nie Wiśniowiecki, a atak Wiśniowieckiego, który w całym swym życiu nie może się wykazać jakimś sukcesem wojskowym, lub bojowym, nie udał się. Sytuację wyrażał król Jan Kazimierz z piechotą, co uobocznie zaznacza nawet p. Latacz (Nr. 97 str. VI), rozpisywał się przedtem niepotrzebnie, a obszernie o rzeczach nieistotnych. Nie w tem wszystkim jednak jest sens rzeczy. P. Latacz, popelnivszy cały opus polemiczny o Beresteczku, nie chciał zauważyć i zająć się rzeczą naistotniejszą, t. j., że król Jan Kazimierz wskazał nieposłuszeństwo Wiśniowieckiego pod Beresteczkiem, jako powód swego odjazdu od wojsk w czasie dalszego marszu na Ukrainę (por. moje o. c. str. 26). Nie umiał się p. Latacz zająć tą sprawą najistotniejszą, gdyż w stosowanym przeczemnie skrócie artykułowym nie wskazałem mu źródeł, a teraz także nie mam ochoty ułatwiania poszukiwań, kończę bowiem wogóle tego rodzaju polemiki.

Inną próbę polemiki chciałbym omówić z możliwą życzliwością, ponieważ są to wysiłki niehistoryka, p. Z. Lasockiego, który nawet wypuścił w druku oddzielny broszurę p. t. „Ogniem i Mieczem” w świetle rewela-

cyj Dra Górki” (Kraków, 1934). Tytuł co prawda własny, ale za to wyglądający na broszurę popierającą moje tezy, podczas gdy jest to polemika z mną. P. Lasocki ma przynajmniej w większości wypadków miłą zasadę cytowania lojalnie tych też przeciwnika, którego stara się obalić, ale to z jednym charakterystycznym wyjątkiem, a mianowicie, gdy biada nad moją nieznajomością „ustroju wojska polskiego w XVII w.” (o. c. str. 11). Wolne to, a zarazem kiepskie żarty, z tem, że p. Lasocki oczywiście nie mógł zacytować jakiegóż ustępu, któryby na to wskazywał. Faktem natomiast jest, że p. Lasocki nie zrozumiał, o co chodzi, a mianowicie, dlaczego zająłem się przynależnością tego Skrzetuskiego, czy Skrzetuskiego z pod Zbaraża do chorągwi kozackiej, a zwracałem uwagę, że nie był usarzem. Ponieważ ustare w zasadzie byli Polakami i katolikami, możnaby było wyraźnym wypowiedzeniem źródłowym przeciwstawić przynajmniej domniemanie, że ów wysłannik ze Zbaraża do Toporowa, jako towarzysz chorągwi usarskiej, był Polakiem. Ponieważ ten Skrzetuski, czy Skrzetuski był towarzyszem chorągwi kozackiej, rekrutowanej na Ukrainie, siłą rzeczy możliwem jest domniemanie, zgodne z relacją Torresa, że był szczytatykiem. Wszystko razem są to wolne żarty, chociaż podobno się nawet generałowi Kukielowi (por. „Kurj. Warsz.” z 27. III. 34), gdyż cała opozycja na ten temat jest wogóle niepoważna.

P. Lasockiemu chodzi głównie o sprawę zbaraską i Skrzetuskiego. Zaczniemy jeszcze raz, w związku z powyższymi uwagami o wojsku, od Skrzetuskiego, z którą to „rewelacją” mam największą kłopot, chociaż „właśnie w tym wypadku nie przysługują mi żadne prawa autorstwa i pierwszeństwa. Pochodzenie i rola Skrzetuskiego z pod Zbaraża znana jest z tekstu ogłoszonego przez prof. Br. Gubrynowicza (zob. niżej), z pracy ks. Frąsia („Obr. Zbar.” 60), z pracy dr. Tomkiewicza („Jer. Wiśn.” 326), wyraźnie określającego Skrzetuskiego jako „szczytatyka”, który „podał się za uciekiniera”; glosy ukraińskie pomijam. Nie moja już jest wina czy zasługa, że szeroki ogół czytający na tamte wcześniejsze publikacje nie zwrócił uwagi, niewątpliwie jednak, gdybym wśród innych uwag o „Ogniem i Mieczem” pominął był tę — jak się wyraziłem — „niechętnie poruszaną sprawę” (por. moja książka str. 79), rozspypywałyby się moi oponenty w zarzutach, że piszę o historyczności „Ogniem i Mieczem”, nie wiedząc nawet chociażby o tem, że bohater powieści Skrzetuski był szczytatykiem i Rusinem. Komicznem zaś jest wprost, że pp. polemici dyskutują tę sprawę z mną, a nie z tymi (np. dr. Tomkiewiczem), którzy ją wcześniej tak samo ujęli.

Przechodząc na chwilę ad meritum, spróbuj — skoro nie pomogły cytaty źródłowe, ani dyskretna ironja — tę niepoważnie rozwałkowaną przez przeciwników sprawę omówić ze stanowiska prostego chłopskiego rozumu! Sienkiewicz do końca życia nie znalazł relacji o przejściu Skrzetuskiego ze Zbaraża do Toporowa, nie miał pojęcia, że odbyło się to drogą udanej dzierzki i t. p. Gdyby był Sienkiewicz ślad czegoś podobnego napotkał w źródłach, czy kronikach sobie znanych, nie byłby nigdy wpadł na pomysł robienia z niego bohatera planowanej powieści. Ze stanowiska przygotowania nie można Sienkiewiczowi zarzucić nawet pod tym względem jakiegóż przeoczenia, publikowano bowiem te źródła później. Nie mógł ich znać, tkwiły bowiem ukryte w archiwach; podkreśliłem to w wstępie mych artykułów sam najakradobitniej (o. c. str. 5). Jednym słowem Sienkiewicz, znając ulamki źródeł, pomylił się co do istoty osoby swego bohatera, postępująca zaś w swych badaniach, czy publikowaniu źródeł, historjografja, stwierdziła to w pracach innych autorów kilkakrotnie. Musiałem się na to powołać i na tem koniec!

Wesolkowate natomiast wrażenie robią na mnie te próby pseudo-historyczne, czy pseudo-naukowe obrony tej, niezawinionej przez Sienkiewicza, pomyłki. Gdyby był Sienkiewicz nie nazwał przypadkiem swego bohatera Skrzetuskim i nie wyznaczył mu w powieści takiej roli, że nazwisko to stało się przez powodzenie i wpływ powieści symbolem rzekomego rycerstwa kresów ukraińskich, — nikomu wogóle nie przyszyłoby na myśl poważnie dyskutować i polemizować na ten temat, że ów pierwszy wysłannik, który dotarł ze Zbaraża do Toporowa, był szczytatykiem. Gdyby wbrew tak poważnej relacji, jak nuncjusza, jakieś inne współczesne źródło stwierdzało, że ów wysłannik był Polakiem, katolikiem, czy usarzem, to byłaby możliwa dyskusja na temat, która relacja oddaje prawdę. Z chwilą zaś, gdy istnieją tylko relacje, stwierdzające jego charakter szczytatycki i wskazujące na kozacką przynależność, to niezależnie od takich, czy innych Skrzetuskich, nie sposób wogóle poważnie nad tem dyskutować, jakiej religji był wysłannik ze Zbaraża do Toporowa. Przynajmniej chociażby do czasu, dopóki nie znajdzie się jakaś inna współczesna i poważna relacja, stwierdzająca, że był Polakiem i katolikiem. Dlatego do podobnych niepoważnych rozważań, nie

nie mających wspólnego z jakimiś ocenami historycznymi, czy naukowymi, a natomiast będących uczuciem i literackim piśmie desiderium — nie będę więcej powracał.

gorze natomiast już jest z tem, że p. Lasocki, party swojami pia desideria, wybrał się na mnie, — bądź co bądź starego wygę tekstów średniowiecznych, — z krytyką właśnie tekstową! Daje mi to natomiast okazję sprezentowania łaskawym moim czytelnikom, skąd powstają te zmartwienia moich polemistów, że się w jakimś punkcie pomyliłem. Przez oszczędność miejsca w mych, na ogół zresztą przydługich, artykułach znowu nie podalem szczegółowo jakiejś książki, wobec czego jeden z polemistów „wpadł”. Wielu z nich bowiem nie umie samemu niczego znaleźć, gdy ich za rączkę nie prowadzę. Muszę zaś czytelnikom „Pionu” objaśnić, że gdybym był wszystkie wyzyskane przezemnie książki wymienić, oraz znane mi teksty źródłowe cytować z odsyłaczami i uwagami, to odnośnie części „Pionu” z moimi artykułami musiałyby wyglądać, jak przewodnik bibliograficzny, a nie pismo literackie. Otóż p. Lasocki, wobec cytowania przezemnie dla przejrzystości Zeszytu Ukrainy Rusy, objaśnia, że moja informacja (to jest relacja nuncjusza!) „pochodzi ze źródeł ukraińskich” („Ogniem i Mieczem” w świetle rewelacji i t. d. str. 10), zarzuca mi niekontrolowanie druku z rękopisem, a co więcej, wykazuje mi groźnicę i uczenie, że w tej relacji o Skrzetuskim Chmielnicki figuruje jako — „Chmilnicki”, a nie „Chmilnicki” jak pisze dr. Górka, jak zwykle niecisły w cytowaniu źródeł” (o. c. str. 10). Znowu wolne i kiepskie żarty! Otóż niech się dowie p. Lasocki i inni kandydaci na polemistów, że odnośny tekst relacji nuncjusza o Skrzetuskim był dostarczony przez naszą misję naukową w Rzymie i jako taki był ogłoszony przez prof. Br. Gubrynowicza w „Kuchni literackim” (rok 1927. Warszawa nr. 8 st. 237). W tym to, kolacjonowanym, tekście jest „Chmilnicki”, tak jak cytuję należy i można, a tylko znowu Skrzetuski jest poprawiony na Skrzetuski.

Wszystko to są fatalne skutki, że nawet przy dobrej woli i wysiłkach pracy historycznej nie można zaczynać odrazu od samego końca, to jest od archiwów i drukowania swych wywodów, ale należy uczyć się po prostu od początku, od naukowego „ABC”, a więc od bibliografii Finkla, Estreichera, Korbuta, „Kwartalnika Historycznego” i t. d. Wtenczas nie będzie tych nieporozumień, które już raz musiałem wytknąć, że autorzy, którzy już sami przez się powiększają bibliografję o Skrzetuskim, nie znają nawet publikacji wprost odnoszących się do sienkiewickiego bohatera.

Drugi kłopot mam z tem, że p. Z. Lasocki nie opanowuje pamięciowo wielu z naprowadzonych przezemnie szczegółów. Np. — p. Z. Lasocki (str. 4) uczy mnie, że „Księga Pamiętnicza” Michałowskiego jest pełna błędów. Stoi to, jak byk, w moich artykułach w wyrażeniu o „wydaniu bardzo niedokładnym” (str. 80). Uczy mnie również p. Lasocki (str. 5) i gromi, dlaczego nie wiem, że Szujski cenil Wiśniowieckiego jako wodza, chociaż ponownie stoi, jak byk, u mnie wydrukowane zaraz na początku (str. 6), że Szujski „przeciwnał” Wiśniowieckiego „pod względem powojkowym”. Podobnie objaśnia mnie p. Lasocki, że Szujski lepiej wiedział od Kubali, kto był wodzem Zbaraża, chociaż ja to właśnie stwierdziłem (str. 96), że pod tym względem nasza historiografja poszła wstecz. Jednym słowem — i t. d. i t. d. Przecież nie mogą pp. polemisi wymagać odemnie, bym przedrutował jeszcze raz i nanowu swoje kilkometrowe artykuły, przystępując bowiem do polemiki, twierdząc, że moje wywody znają — w odróżnieniu od wywiadu gen. Wieniawy Długoszewskiego („Polska Zbrojna” Nr. 17 Tyg. Lit. Nauk. 22. IV. 1934), który, zabierając głos w obecnie toczącej się dyskusji na te tematy, nie pozwolił sobie „zaćmić sądu” znajomością mych artykułów. Nie mogą się więc również pp. polemisi dziwić, że nie odpowiadam punkt za punktem, bo to ciągle cytowanie samego siebie, poczyna mnie nudzić, a cóż dopiero łaskawych czytelników moich artykułów.

Jedną rzeczą sprawił mi p. Z. Lasocki przyjemność. Zarówno ostatni monografiści Wiśniowieckiego, jak ks. Frań i dr. Tomkiewicz, jak też wszyscy dotychczasowi polemisci „zbarascy”, nie mogli znaleźć ustępu źródłowego, według którego regimentarze rzekomo oddali dowództwo w Zbarażu Wiśniowieckiemu, a to poprostu dlatego, że w odnośnej części „Szkiców” Kubali odsyłacze są bardzo pokręcone i niejasne. Ustęp ten rękopiśmienny i niewydany znalazłem i z pewną przekonanością czekałem, kto z nim wyjedzie. Zrobił to p. Lasocki, co niewątpliwie czyni honor jego wysiłkom, chociaż najprawdopodobniej naprowadziło go na to zacytowanie przezemnie rękopisu „Zbiory Michałowskiego 8 a, f 32” (por. m. książka 86), gdyż odnośny ustęp znajduje się o stronie dalej (f. 33). Otóż ta relacja, czy „Diariusz Expeditioni Zborowskiej” należy do utworów Michałowskiego, które zgóry nazwał „bardzo błędnymi” (por. o. c. str. 84). Należy bowiem odróżnić, — czego moi polemisci dotychczas nie wiedzą, ale odtąd będą już umieli, — materiały, dla których Michałowski był tylko kopistą dostępnych sobie dokumentów i w którym z charakterze pozostawił zbiór źródeł pierwszorzędnej wagi i wartości, od materiałów, które sam lub inni opracowywali, przerabiali na rodzaj relacji i t. d., a które są pełne błędów, sprzeczności i zakłamaniej tendencyjności. Uwaga ta przyda się także

w pracach p. Lataczowi. Otóż do takich sfabrykowanych ustępów należy twierdzenie, wzięte z Zbiorów Michałowskiego, a cytowane przez p. Lasockiego, że „wszyscy regimentarze jeździli do niego” (oczywiscie Wiśniowieckiego) „per amore partiae upraszając go i regimentum mu odstępować” (zob. Lasocki o. c. str. 5). Otóż — krótko mówiąc — żadni regimentarze „regimentum”, t. j. władzy, Wiśniowieckiemu nie odstępowali, ani do niego nie jeździli. Nie był u Wiśniowieckiego w obozie ani Firlej, ani Ostroń, a jeździł tylko raz Lanckoroński w sprawie przyłączenia wojsk Wiśniowieckiego do regimentarzy, którzy wogóle nigdy nikomu nie zamierzali władzy nad wojskiem odstąpić. Dla tych spraw bowiem trzeba przede wszystkim znać całość odnośnej korespondencji.

Dość więc tych zabawek polemicznych! Naturalnie wszystkie tego rodzaju wysiłki, jak p. Skrzetuskiego, p. Lasockiego i t. d. muszę — mimo strzałów we mnie kierowanych — witać z prawdziwą radością, jako żywą ilustrację mego twierdzenia, że umysłowość polska zaczyna się wrzesce na nowo kierować ku zagadnieniom poważnym i szuka w miejsce poprzedniego nadmiaru powierzchowności strawy poważnej i istotnej (por. moja książka str. 68). Niemniej jednak pp. debutant i pełni wiadomości i dobrej woli dyktanci powinni — przed ogłaszaniem swych prac w druku — pamiętać, że historia jest bardzo trudną i skomplikowaną umiejętnością, wymagającą pozatem specjalnego przygotowania technicznego, czy metodycznego.

Zanim jeszcze przejdę do ogólnych spraw, kilka słów — ale niestety przykrzych — muszę poświęcić dwom artykułom p. M. S. Kuczyńskiego p. t. „Książę Jeremi” i „Książę Jeremi wobec zarzutów” („Kur. Warsz.” Nr. 106 z 19.IV. 1934 i Nr. 109 z 24.IV. 1934). Artykuły te są zbiorem najzupełniej oklepanych rzeczy starej literatury o Jeremim Wiśniowieckim, a pozatem rodzajem streszczenia książki p. dr. Tomkiewicza, z tą niedokładnością, że o ile p. dr. Tomkiewicz podawał szereg momentów — rozwiązywanych na plus — z szeregiem zastrzeżeń, z pewnymi uwagami krytycznymi i t. d., to p. Kuczyński wszystkie mylnie ujęcia przejrzał z całym zapalem, nie dodając nic nowego, z wyjątkiem kardynalnych błędów. Tak np. mówi p. Kuczyński, że „Potocki (oczywiście wielki hetman koronny) wrócił — i z miejsca odplacił się Wiśniowieckiemu za owe 10.000 złotych knowaniami z kanclerzem” („Kur. Warsz.” 106 str. 5). Przedewszystkiem p. Kuczyński nie wie, że te 10.000 złotych, które zgłosił Wiśniowiecki w Lublinie w r. 1649, były na wykup hetmana polnego Kalinowskiego, a nie Potockiego, z którym nic nie miały wspólne (por. chociażby Tomkiewicza str. 350). Mniejsza z tem, że nigdy nie zostały zapłacone, ważniejsze, że p. Kuczyński osądza i poucza innych, chociaż sam komponuje błędy i nieistniejące sprawy — nieczem Kubala np. zabiegał Koniecpolskiego i Zasławskiego o rękę Rakoczojny — przy streszczeniu jednej książki!

Nie mam zamiaru zapuszczać się w kontrolę innych szczegółów, np. Wiśniowieckiemu, z najbardziej wysuniętego miejsca postojowego w swym pochodzie, do Perekopu, do którego miał rzekomo w r. 1647 z dwudziestokilkotysięczną armją dotrzeć, jak chce dr. Tomkiewicz („Jer. Wiśn. 78) i p. Kuczyński („Kur. Warsz.” Nr. 109 str. 5), brakował dysztans niemal jak Warszawa—Kraków. Gdyby z takich, przyjętych na wiek XVII twierdzeń, połowa była prawdziwa, całe dzieje dawnej Polski musiałyby inaczej wyglądać i inny musiałby być ich finał. Dlatego postanawiam sobie raz z razem na szereg takich historycznych górnolotnych może, ale bez podstaw, wypadków nie odpowiadać, a słuszniejsem było celowe ich przecoczenie, by nie budzić w sobie mentorskich zapędów do poprawiania, porad metodologicznych i t. d. Bardziej chodzi mi natomiast o uwagę końcową p. Kuczyńskiego, gdyż ma mi ona służyć za wstęp do ogólnych uwag w obecnej mojej podzwonnej dla całej dyskusji o historyczności „Ogniem i Mieczem”.

II.

„O ile wszystko będzie szło, jak dotąd, to wolno przypuszczać, że „strasliwy książę” (Jeremi Wiśniowiecki) i tym razem (t. j. w obecnej dyskusji) rozproszy nieprzyjaciół i, że „jego będzie za grobem zwycięstwo” — słowa, któremi skończył mój polemista w „Kurjerze Warszawskim”, p. Kuczyński swoje, bardzo zresztą pod względem rzeczowym szwankujące, wywody. To jednak

*) W trakcie druku obecnego artykułu otrzymałem zapowiedzianą, a obszerną recenzją prof. M. Korduby o pracy dr. Tomkiewicza p. t. Jeremiasz Wiśniowiecki im Lichte der neuen Forschung (Zeitschr. f. Osteurop. Gesch. T. VII Heft 2, str. 221 — 238), która napisana została przed moimi artykułami, a ukazała się obecnie. Czytelnik łatwo może tam skonstatować, jak dalece poprzedni materiał dla tych spraw był niepełny, a zarazem o ile moje poglądy różnią się od poprzedniego stanu badań. Niewątpliwie jednak w całym szeregu punktów prof. M. Korduba doszedł niezależnie ode mnie, tak jak ja niezależnie od niego, do wielu zgodnych z sobą obszcowań rzeczowych o wypadkach lat 1648 — 51. W rezultacie sprawa zwycięstwa „rewizjonizmu” dotychczasowych poglądów nie może ulegać wątpliwości.

zdanie jest nietylko charakterystyczne, ale mnie bardzo dla oświetlenia istoty tej całej batalji, która się toczy, potrzebne!

Na pożegnanie bowiem, w obecnym podzwonne, chcę być szczerzy i powiedzieć za moich oponentów to, co w większości swojej myślą i czują, a ze względów taktycznych nie chcieli powiedzieć. Słowa p. Kuczyńskiego sub rosa przypominają mi to, naprawdę szczerze, a zarazem logiczne, wystąpienie młodego 5-klasisty, który zabrał także głos w dyskusji historycznej o „Ogniem i Mieczem” w Uniwersytecie Warszawskim dnia 8.II. 1934 (por. niepełne i niedokładne sprawozdanie w „A. B. C.” Nr. 40 z 10.II. 1934 str. 6). Owononimowy polemista, nie kuty jeszcze w arkanach podchodzenia opinji, podstawiania argumentów popularnych w miejsce szczerzych i jaskrawych i t. p., wywalił audytorjum kilkuset ludzi prosto z mostu: „Książę Jeremi, chociaż popełniał tyle grzechów i był warcholem, pozostanie dla nas świętą, czy świętaną (nie pamiętam) postacią, bo powinniśmy być nietylko nacjonalistami, ale szowinistami”. Zaśmiewałem się wtenczas serdecznie z młodego i czupurnego mówcy, gdy jednak przy tych wszystkich naiwnościach, sala zatrzęsła się od okłasków, poczęły maie także przy całej wesołości smutniejsze po głowie chodzić refleksje.

Bronią moi oponenti historyczności „Ogniem i Mieczem”, kanonizują pomyłki Sienkiewicza, popełnione w najlepszej wierze i bez ujmę dla piękna powieści, bo obawiają się, że przy zachowaniu wartości artystycznej może zepsuć się instrument, dotychczas najsiłniejszy, dla naszego szowinizmu narodowego — wobec drugiego narodu. Ja nazwałem tę stronę zaraz u wstępu moich artykułów drugoplanową (m. książka str. 4), gdyż za pierwszoplanową uważam sprawę czysto polską, t. j. przypadkowo fałszywe i wręcz opaczne rozumienie naszej przeszłości w danym, a tak ważnym, okresie. Jest to troska, która zrodziła się w duszach polskich wraz z „Ogniem i Mieczem”, która włożyła pióro do ręki Prusowi, która przedewszystkiem samego Sienkiewicza doprowadziła do wręcz odmiennego ujęcia naszej przeszłości. Nie może naród polski jednym tchem apoteozować Chodkiewicza, Żółkiewskiego i Wiśniowieckiego, tego najgorszego ze swych pasierbów. Jeśli rozumiemy, że część należy się, chociażby za intencje, Kościuszcze i jego towarzyszom, a nie hetmanowi Braniczemu i jego „rębajłom”, to nie może ona przysługiwać panu i dworowi na Łubniach. Musi to bowiem wręcz odruchowo w rozmaitych dziedzinach myślenia narodowego pchać ku wyciągnięciu fałszywych wniosków i inspiracji historycznych, a to właśnie na okres obecny, gdy już nie jesteśmy narodem walczącym z cudziemi państwami, broniącym swego etnograficznego stanu posiadania, ale narodem mającym własne państwo i broniącym własnych granic geograficznych. Jest to strona zagadnienia, której nie chce, czy nie umie się dopatrzyć się nawet wielu z tych, którzy niezawodnie potępią kulturę szowinizmu i etnograficznych symplikacji.

Jeśli ta strona czysto polska jest mym zdaniem ważniejsza, to w tej drugiej „mniejszościowej” tkwi istotny powód całego rozgorzenia walki o rolę „Ogniem i Mieczem”. Stąd stałe podsyłanie jej bezustannie ze wszelkich stron, stąd wszelkie możliwe próby zmuszenia mnie do umiarkowania terorem frazesów, fałszów, przekręcaniem moich artykułów, zakłamaniem o napaściach na Sienkiewicza, Trylogję, oburzaniem się za Skrzetuskiego, którego pochodzenie było dawno znane i ustalone i t. d. Myślałem to w czasie przemówienia tego ucznia w sali Uniwersytetu Warszawskiego, myślałem o tem nieraz wśród licznych wymyślań w prasie, gdyż niewątpliwie kult tego kozacko-wołoskiego kniazia, uciekającego ciągle przed Kozakami, a wbiającego na pale chłopów, nie znika nigdy. Zbyt wiele jest ku temu motywów, by kniaz Jarema żył, a to nietylko dlatego, że są tacy, co twierdzą, że „powinniśmy być szowinistami”, że tacy zawsze byli w dawnej Polsce i najszerzą mieli gębę w sejmie, a najsłabszą szablę w bitwie, lecz także dlatego, że — jak wiem to z doświadczenia historycznego — najtrudniej jest przekonać do prawdy o przeszłości, najtrudniej jest obalić fałsz, które się już utarły. Wszak nawet Joanna Papieżyczka odżywa raz z razem w dyskusjach i utworach literackich całego świata, nietylko chociaż jej nie było, ale właśnie dlatego, że jej nie było. Odżywać będzie więc niewątpliwie Jarema i cały jego świat, Jarema, noszący na sobie wszystkie możliwe grzechy byłej Polski, a świecący jak symbol i drogowskaz. Nie spodziewam się zniszczyć tego mirażu na stałe i na zawsze, chociażby wrzesce tylko dlatego, że już Hamlet dawno bezsilnie rozłożył rękę nad tem, co „jest wieczne, co nie może umierać”.

Dziwię się tylko jednej rzeczy, że ogół czytający tę powódz artykułów o moim wystąpieniu, nie rozumie, nie spostrzeżę wogóle tej ewidentnie i krzykliwe n owadzonej gry, którą część prasy w złą, albo nawet w dobrej wierze, „mąci narodową kadz”. Sens moich wywodów, treść moich intencji zawarta jest oczywiście w artykułach p. t. „Konkluzje”. Tam przez krytykę „Ogniem i Mieczem” doszedłem do celu konstruktywnego, stwierdzając, że uczyć się i myśleć historycznie należy według „Potopu”, a nie według „Ogniem i Mieczem”, a u Sienkiewicza czić jego zmysł odpowiedzialności wobec drukowanego przez siebie słowa. Coprawda, pisząc o wyjątkowym zmysle odpowiedzialności Sienkiewicza za drukowane słowo, nie

mogłem wyobrazić sobie, że jego quasiobrony dądzą sami taki koncert braku odpowiedzialności za drukowane przez siebie słowo. Wyjątki oczywiście są możliweli Dlatego np. z prawdziwą, a niespodziewaną satysfakcją przeczytałem szczerze i śmiało słowa „Merkurusza Polskiego” (Warszawa, 8.V. 1934), spowodowane moją książką. Jądem zaś tego wspomnianego kśnienia sprawy jest, że ani w jednym z artykułów mnie atakujących — o ile zdołałem to stwierdzić — nie padło wogóle słowo „Potop”. Ani w jednym nym wspomniano, że to dzieło myślenia historycznego Sienkiewicz napisał, ani w jednym nie wspomniano, że ja — mniejsza z tem słusznie, czy nie słusznie — przeciwstawiam walory pedagogicznosci i obrazu historycznego „Potopu” niepedagogicznosci i odwróconemu obrazowi w „Ogniem i Mieczem”.

Vultus vult decipi, ergo decipiatur. Gdyby dyskusja była się rozwinęła tak, jak to w uczciwym optymizmie przypuszczałem, na podstawie kwestji przezemnie wysuniętej o pierwszego artykułu na czoło sprawy, t. j. walory „Potopu”, a „Ogniem i Mieczem” w kształtowaniu duszy polskiej, — sprawa byłaby zgóry i bez możliwości opozycji ze strony zainteresowanych w szowinizmie i w zniekształcaniu duszy polskiej oponentów — przegrał! Uczciwie więc platformy dyskusji nie podjęto. Systemem kurystycznej dialektyki rozpisano się o „napaści” na Sienkiewicza, o negowaniu walorów Trylogji, za sypywano prasę artykułami, mającemi mieć w mnie niewprost, — czem Sienkiewicz był dla narodu polskiego, dla idei niepodległościowej i t. d., aż wzmówiono w opinję masowem zakłamaniem, że „zaatakowano Sienkiewicza”. „Konja z rżędem, a nawet 100 zł. gotówką” — (świście powiedział J. Moraczewskiego) — temu, który znajduje w artykułach mych ustępy atakujące o sobę Sienkiewicza, walory jego twórczości, jego zasługi dla obozu niepodległościowego, uwagi atakujące Trylogję i t. d. Całe to rozszerzenie było potrzebne właśnie dlatego, by nie dopuścić ogółu myślącego do zastanowienia się nad pytaniem, na tle których z tych dwóch książek przeżywać wewnętrznie najcięższe okresy naszej przeszłości — na tle „Ogniem i Mieczem”, czy „Potopu”.

„Habent sua fata libelli” — powiedział Terencianus Maurus, by na pewien czas przez potomnych zostać wyzutym nawet z autorstwa tego powiedzenia. Wiem, że książki mają swoje losy, swe fatum, które nieuchronnie wraca i przychodzi. Musiałem po upływie lat pięćdziesięciu, krytykując na prawo i lewo, uchylić głowy z ciężą przed wiedzą, rozumem i kulturą tych, którzy w 1884 roku o „Ogniem i Mieczem” pisali. Kiedyś weźmie ktoś obecną dyskusję pod swój sąd i ocenę. Nie wiem, jak ten sąd dla mnie wypadnie, ale nie zdola mi nikt odmówić szczeroci, otwartosci i z tego wypływającej odwagi sądów. Niewątpliwie zaś większość moich tak licznych oponentów do cna swych myśli nie dopowiedziła, by przypadkiem nie zepsuć sobie efektu popularności i poklasku. Mnie na efekcie nie zależało, natomiast chciałem, czy próbowałem, dać pewien zasób rzeczowych elementów do przemyślenia tym, których zagadnienie formowania się duszy polskiej, oraz jej nastrojów wobec przeszłości i teraźniejszosci interesuje. Planowanej platformy dyskusji: „Potop” czy „Ogniem i Mieczem”, jak dotychczas — oponenti moi nie przyjęli, bo szerszy, głębszy efekt, musiałby być dla ich intencji zgóry przesądzony na niekorzyść. Dalsze natomiast spory drobiazgowe o szczegółiki, dalsze walki o błędy korektorskie, rzekomo mniej wyrazne, czy jasne wypowiedzenia się i t. d., z udowadnianiem oponentom cytami własnej książki, że nie mają racji, — musi w końcu nudzić autora, a cóż dopiero czytelnika.

Dlatego nazwałem te moje artykuły — „podzwonne”. Habent sua fata libelli. Niech tym przyszłym grubym rocznikom „Ilustrowanego Kurjera Codziennego”, „Kurjera Warszawskiego”, „A. B. C.” i t. d. półki biblioteczne będą lekkiel! Nie jedna jednak ze stronic tych pism, nie jeden z artykułów tam umieszczonych, zarumieni się będzie musiał ze wstydu, stając w jednym rzędzie w godnym gronie „Prawdy”, „Kraju”, „Biblioteki Warszawskiej” i t. d. Niech im więc półki biblioteczne będą lekkie, bo o sady tych przyszłych, którzy walkę w intencje, we włożony trud, a ocenią wartość nowego dorobku, — jestem spokojny — dla siebie!

K O N I E C

Nakładem „Drogi” ukazało się drugie wydanie książki

ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO

MYŚLI

O NOWEJ POLSCIE

Cena zł. 4.—

(Dla Prenumeratorów „Drogi” zł. 2.50)

Książka jest do nabycia w Administracji „Drogi” (Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 2.75.34. Konto P. K. O. 0.518) i w księgarniach stołecznych i prowincjonalnych.

KINEMATKA NA MARGINESIE

ARTYKUŁÓW FILMOWYCH

W serii interesujących i pełnych fachowej wiedzy artykułów p. Jerzy Toeplitz wskazał na tem miejscu braku organizacji polskiej produkcji filmowej i niezbędne dla jej dodatkowego funkcjonowania warunki. Wydaje mi się jednak, że rozpatrując ją pod kątem widzenia „przemysłu”, autor pominął niektóre sprawy, niemniej istotne, jeśli chodzi o jej rozwój jako „sztuki”. Kinematografia bowiem to nie tylko „przemysł”, ale i „sztuka”; i w szczególności jako taka obchodzi publiczność kulturalną, te kilka tysięcy dyletantów, interesujących się literaturą i sztuką, czytających piśma tym sprawom poświęcone.

Otóż losy sztuki kinematograficznej jak każdej sztuki zależne są nie tylko od szczególnych momentów twórczych jednostek utalentowanych, „poetów” działających w każdej dziedzinie artystycznej, ale i od liczenia się z osiągnięciami poprzedników, od nawiązywania do nich, aby pójść jeszcze dalej. Użyty zaś przed chwilą „stopień porównawczy” przysłowka wskazuje na możliwość porównywania, jako zasadniczy warunek rozwoju każdej sztuki, skąd wynika, że możliwość porównania dwóch lub więcej dzieł sztuki, więc ich trwałość i dostępność jest jedną z najważniejszych jej właściwości. Jest warunkiem jeśli nie samego istnienia (istnieją bowiem taniec, aktorstwo, sztuka odtwórcza w muzyce, których produkty „jednorazowe”, do pewnego stopnia niepowtarzalne i dostępne odbiorcom w określonym ściśle czasie, gdzie więc ciągłość tradycji utrzymuje się namiastkami, pamięcią ludzką, szkołą, dokumentacją nigdy dostatecznie równoważną jak rysunki, fotografie, obecnie płyty gramofonowe etc) — to w każdym razie płodnej i planowej ewolucji. Ten ostatni warunek w sztuce kinematograficznej, jako ze swej natury „masowej”, jako takiej, w której, ze względu złożoności produkcji i konieczności koordynacji wysiłku bardzo wielu artystów najrozmaitszych sztuk, czynnik świadomej, rozumowo kontrolowanej twórczości przeważa nad czynnikiem niedostępnego kontroli natchnienia, powinien być szczególnie uwzględniony. Tymczasem co widzimy? Sukces filmu, więc ocena przez odbiorców, której najbardziej kompetentnym wyrazem powinna być krytyka opiera się z natury rzeczy na momentach porównawczych: mówimy przecież „ten film jest gorszy lub lepszy od dającego się z nim porównać filmu X”, „powtarza zbanalizowany już rodzaj, który wodzi się z filmu Y”, „wprowadza szczęśliwe innowacje w scenariuszu, wykonaniu aktorskim czy metaforyce kinematograficznej” — ale we wszystkich tych sądach opieramy się na niejasnych wspomnieniach tych filmów, które się jeszcze nie zatarły w powodzi wrażeń kinowych. Odswieżyć zaś te wspomnienia, przekontrolować sąd ustalony w kontekście zupełnie odmiennych nastrojów, innego poziomu sztuki kinowej — niema sposobu. T. zw. wznowienia są rzadkie, ograniczając się do dzieł niedawnych, wyjątkowo w sezonie letnim sięgają w nieco odległą przeszłość, wyciągając z niej filmy równie przypadkowo, jak papuga wróżyby z pudełka katariniarza. Doprosić się wznowienia czegoś wartościowego, choćby najracjonalniej motywując prośbę, niepodobna nawet, żeby się obeszło wszystkich właścicieli kin w Warszawie: miałem sposobność o tem przekonać się osobiście przed rokiem i przed dwoma laty.

Wówczas już myślałem o zaprojektowaniu czegoś w rodzaju archiwum filmów, ale niewiedza moja co do technicznych warunków i możliwości konserwowania taśmy stała mi na przeszkodzie. Widocznie jednak o tem równocześnie myślano w szerokim świecie, bo oto czytam oficjalne zarządzenie, właściwie dekret opublikowany we francuskim „Journal Officiel”, w myśl którego filmy, złożone przez wytwórców w archiwach fotograficznych i kinematograficznych administracji Sztuk Pięknych, mają być przechowywane w „Kinematyce narodowej” (tak tłumaczę nowoukuty termin francuski „cinémathèque”, powołując się na analogiczne już przyjęte „pinakoteka”, „gliptoteka” etc. może lepszy, bo krótszy byłby „Kino-teka”, gdzie będą dostępne badaczom (autorem filmów, inscenizatorom, historykom i t. d.), zgodnie z przepisami, które zatwierdzi Minister Oświaty.

Wśród innych punktów tego dekretu zasługują na uwagę jeszcze następujące: filmy złożone w „Kinematyce narodowej” stają się jej własnością, ale mogą być bezpłatnie wypożyczane na określony termin temu, kto je złożył; nie mogą być eksploatowane w celach handlowych; mogą być jednak w całości lub we fragmentach za zgodą producenta użyte (w odbitkach) w celach pedagogicznych lub dokumentalnych; odbitki takowe mogą być wypożyczane wszystkim, prócz dla celów zarobkowych, na tych samych warunkach, jak fotografie do wyświetleń z archiwów fotograficznych adm. Sztuk Pięknych; państwo za zgodą producenta będzie mogło wyświetlać je w czasie ceremonij, uroczystości lub zebrań o charakterze oficjalnym.

Podając te wyjątki z dekretu nie chcę oczywiście przesądzać organizacji przyszłej polskiej „Kinematyki narodowej” do której założenia prędzej czy później dojdzie bezwzględnie, choćby nawet nikt miarodajny na

ten mój skromny głos nie zwrócił uwagi. Myślę, że mogłaby ona powstać, jako oddział Muzeum Narodowego, pomagając w wyszukaniu jego budującego się zbyt wielkiego gmachu, lub Biblioteki Narodowej. Przypuszczam, że nie powinna ograniczać się do zbierania filmów polskich lecz postarać się również o odbitki niektórych przynajmniej arcydzieł filmowych zagranicznych, których niezbyt długą listę możnaby ustalić drogą ankiety wśród znawców, krytyków kinematograficznych oraz literatów i artystów wogóle. Prócz dzieł sztuki kinematograficznej, instytucja ta powinna przechowywać inne materiały w tejże technice, choć w innych celach, utrwalone. Do nich w pierwszym rzędzie należałyby zdjęcia kinematograficzne najwybitniejszych przedstawień teatralnych. Nie trzeba myśleć, broń Boże, że jestem wyznawcą zastąpienia teatru przez kino dźwiękowe, lub kina dźwiękowego przez sfilmowany teatr: zbyt wiele tu, zagranicą, widzę podobnych utworów sztuki kinematograficznej francuskiej, (które do nas na szczęście nie docierają), by nie wiedzieć, że to jest najokropniejsze widowisko, gorsze od najgorszego filmu polskiego. Chodzi tylko o utrwalenie, choćby w przybliżeniu, wielkich kreacji aktorskich i inscenizatorskich, o dokumenty do historii teatru. Nie tak dawno A. Slonimski („Wiadomości Literackie” z 22. IV. b. r.) pisząc o grze Jaracza w „Płaszczu” Tuwima, rzekł „sfilmować przynajmniej ze dwie albo trzy sceny, żeby te szczeniaki, co się dzisiaj bawią w parku Ujazdowskim, także coś miały w życiu”. A ja do dziś dnia zastanawiam się jakimi słowami opisać Solskiego w roli Łatki, widzianego temu 12 lat, gdy będę rozmawiał o teatrze w mej późnej starości, albo też czy inną inscenizację L. Schillera. Następnie w Kinematyce powinny się przechowywać zdjęcia kinematograficzne wydarzeń, uroczystości, słowem ten dostępny „operatorowi” aspekt dziejącej się rzeczywistości, który może służyć za materiał do celowej konstrukcji: udatnym przykładem takiej konstrukcji zbieranego z szeregu lat materiału kinematograficznego jest wyświetlany w tym roku z powodu imienin Marszałka Piłsudskiego „nadprogram” biograficzno-historyczny.

Wreszcie, jeśli nie udało się stworzyć teatru „żelaznego repertuaru”, kinematka pozwoliłaby powstać kinematografowi „retrospektywnemu”, opartemu o „żelazny repertuar” filmowy. Tu byłaby wdzieczna rola do podjęcia przez „Kino Miejskie”. Ale to rzecz późniejsza. Zacząć trzeba od kinematyki.
K. W. Zawodziński.

Artykuły moje, poświęcone reformie polskiej kinematografii, zaatakowane zostały z dwóch stron — p. H. Przewóska, recenzentka „Gazety Warszawskiej” polemizuje ze mną w artykule p. t. „Przykra atmosfera” („Gazeta Warszawska” Nr. 146), a w organie branży filmowej „Wiadomościach filmowych” ukazały się dwa artykuły: „Ostrzeżenie wroga” p. Józefa Fryda (Nr. 9) i „Z naszego stanowiska” p. Danny Kadena (Nr. 10) zwalczające wysunięte przeze mnie tezy. Postaram się odpowiedzieć na zarzuty.

P. H. Przewóska jest zdania, że postawiałem ją w zupełnie fałszywym świetle, biorąc jej żartem wypowiedziane zdanie w krytyce filmu „Port z San Diego” — Nie każę nam tu nad niczem się zastanawiać, niczego domyślać — fabuła pracuje za nas i do niej należy ostatnie słowo” — za dobrą monetę. Przyznaję się ze skrucą, że potraktowałem to rozbrajająco szczerze wyznaniem na serio i dlatego pozwoliłem sobie zacytować je w „Pionie”. Boję się, że czytelnicy „Gazety Warszawskiej” mogli je również źle zrozumieć, a wtedy nie z mojej winy p. H. Przewóska zostałaby postawiona w złym świetle.

Wyjaśnienie p. Przewóskiej likwiduje właściwie spór zasadniczy, a pozostają tylko sprawy uboczne, poruszone w „Gazecie Warszawskiej”, a mianowicie — mój fałszywy pogląd na rolę krytyki filmowej i moje złe obyczaje polemiczne.

Nie zgadzam się z p. Przewóska, by ogłada i kultura literacko-artystyczna i talent dziennikarski były dostatecznymi kwalifikacjami dla krytyki filmowej. Sprawozdawca, nie będący fachowcem, nie potrafi, jak tego sobie życzy p. Przewóska, wytknąć nieuczta naszym reżyserom, choćby — zdecydowanie domorosłym. Ale nie tylko o to chodzi. Krytyka wtedy jedynie jest działalnością twórczą, jeżeli posługuje się argumentami i oparta jest na znajomości rzeczy. Subiektywne impresje z oglądanych filmów, rzucane na łamach dziennika przez krytyka-amatora, mogą mieć wartość dobrych feljetonów, czy esejów literackich, nie przyczynią się nigdy do podniesienia skali wymagań widzów filmowych, a bez tego trudno marzyć o poprawie niewesołych stosunków. Nie chodzi mi tu o jakies fachowe rozprawy, a jedynie o analityczne recenzje, omawiające wady i zalety filmów, pouczając widza dlaczego to jest złe, a tamto dobre. A trudno pisać tego typu sprawozdania bez znajomości teorii, techniki i produkcji kinematograficznej.

A teraz zarzut złych obyczajów. Drukując szereg artykułów w „Pionie” próbowałem w możliwie metodyczny sposób zobrażać stan polskiej kinematografii i nie mogłem dlatego pominąć milczeniem szkodliwej roli prasy i krytyki filmowej. Nieporuszenie tych bolączek ze względu na solidarność koleżeńską byłoby nieuczciwością i nie przepuszczam, by p. H. Przewóska mogła mieć w tej sprawie inne zdanie. Być może forma mojego wystąpienia mogła nasunąć p. Przewóskiej jakieś wątpliwości, ale sam fakt ataku skierowanego przeciwko recenzentom filmowym uważam za całkowicie zgodny z etyką, poprostu — etyką, a nie maskującą często tchórzostwo — etyką zawodową.

I jeszcze jedno — p. Przewóska posądza mnie o insynuacje dalekie od dżentelmenery, przytaczając mój zwrot, może niezręczny, o „zakulisowych względach redakcyjnych, decydujących o tem, że dana osoba pisze recenzje”. W moim artykule wyjaśniam jasno i dobitnie, że redakcje pism nie kierują się przy obsadzaniu stanowiska krytyka filmowego kwalifikacjami fachowymi, sądząc, tak zresztą, jak i p. Przewóska, że są one niepotrzebne. Tu geneza i wyjaśnienie „zakulisowych względów”.

P. Przewóska w swoim artykule, stojącym na bardzo wysokim poziomie, nie ustrzegła się jednak niestety sama tak rażącej jej obyczajowością — insynuacji. Trudno bowiem inaczej wytłumaczyć sobie zdanie, że „P. Toeplitz ze zrozumiałych względów pełen jest złej woli w stosunku do sprawozdawcy „Gazety Warszawskiej”. Jakież więc niezrozumiałe względy każyły temuż Toeplitzowi w tym samym artykule napisać bardzo dobrze o p. Ciechanowieckiej, dawnej recenzentce „Gazety Warszawskiej”?

Artykuły drukowane w „Wiadomościach Filmowych” nie zasługują właściwie na polemikę. P. Józef Fryd ogranicza się bowiem w swoim wypadzie na „mętnego doktrynera” do takich okrzyków oburzenia, kończąc akt oskarżenia — „ostrzeżenia” wznoszącym wezwaniem — „Cofamy się i czekamy. Dość słów i frazesów — chcemy dowodów realnych. Niech pokaże co umie. Toeplitz mają głos”. Apel ten przypomina bardzo słowa obrażonego sklepikarza, który niezadowolony z towaru klientowi, mówi: „Jak się Panu niepodobna, to zrób sam Pan lepiej”. To sklepikarskie, nie kupieckie, nastawienie jest charakterystyczne dla naszej branży. Apel p. Fryda jest jeszcze z jednego względu śmieszny. P. Fryd jest znanym w Warszawie akwizytorem filmowym i przeprowadza reklamę dla wszystkich niemal polskich obrazów, praca ta jednak, niewątpliwie dla przemysłu filmowego ważna i poważna, nie daje mu prawa do przemawiania publicznie — „my producenci”. Nawet w polskich warunkach istnieje jednak małe różnica między akwizycją a produkcją filmową...

P. Danny Kaden klepie mnie protekcyjnie po ramieniu, chwalać moje krytyki i dając do zrozumienia redakcji „Pionu”, że nie znam się zupełnie na sprawach przemysłu filmowego. P. Kaden jest zdania, że nie trzeba przytaczać argumentów, a wystarczy powiedzieć głośno, że to i to jest niesłuszne, tu Toeplitz „nabrali”, a tam go poniosł „młodzieńczy temperament”. Takie postawienie sprawy zwalnia mnie od odpowiedzi, z całą jednak życzliwością radzę p. Kademu, by: 1) przeczytał sprawę „block-bookingu” i „podaży i popytu”; 2) dowiedział się na czem polega „Auftragsproduktion” Ufy, a przyzna mi rację, że produkcja planowa i wielka wytwórnia, bynajmniej nie zabijają małych producentów, ale pozwalają im na uczciwą i rzetelną pracę, a nie pasywnictwo. To samo zresztą wykazuje praktyka „Cines” i „Independenti”. 3) przytoczył jakieś racje dla poparcia własnych tez. Zaluję bardzo, że domagam się od p. Kadena argumentów, ale p. Danny Kaden nie jest dla mnie autorytetem, a to że od x lat pracuje w przemyśle filmowym, byłoby raczej, stosując praesumptio facti — na podstawie wyników prac naszej kinematografii, — miażdżącym dowodem, że autorytetem w sprawach przemysłowo-handlowych być nie może.

Jerzy Toeplitz.

Istotnie praktyczne! Radion w małych paczkach!



Mała ilość wystarcza — a zatem oszczędnie!
Odpowiednia cena 45 gr. paczka — a zatem tanio! Obecnie każde gospodarstwo posiada samopiorący, uniwersalny środek do prania. Radion pierze wszystko: zwykłą bieliznę, wełny, jedwabie i delikatne tkaniny!

RADION

DLA WSZYSTKICH DOSTĘPNY
DO WSZYSTKIEGO PRZYDATNY

R.P. 3/34

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc.
w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PIŚMO REKLAMOWE
DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

Z. T. KRĘPSKI

NIE ODPOWIADAM — PROSTUJĘ

Poczuwam się do obowiązku przesłania kilku słów sprostowania po zapoznaniu się z treścią artykułu: „Katolicyzm omylny i nieomylny”¹⁾ i z punktu oddaję głos p. Skiowskiemu.

„Nie można opierać swoich poglądów na katolicyzm — powiada — czerpiąc inspirację z katechizmu” (!) — ani też na bullach, dekretach, breve, gdyż są „uzależnione od warunków czasu, w których powstały”. Wobec czego p. Sk. pyta: „Gdzie szukać prawdziwej nauki Kościoła”?

1. Sądzę, że nie popełniam błędu, (jako laik zmuszony jestem się zastrzec) — jeżeli odpowiem, że szukać jej należy: w Ewangelji, Dziejach, i Listach apostoelskich, w pismach Ojców i tradycji Kościoła, których nauka zawarta jest w kategorycznych orzeczeniach każdego autoryzowanego katechizmu. Co nie przeszkadza, że zbiór zasad ujętych w sztywną formę pytań i odpowiedzi, nie może wyczerpywać wszystkich zagadnień życia katolickiego i dlatego „treściwe i zasadnicze orzeczenia katechizmu”, wymagają obszernych wyjaśnień.

Książkę prof. Adama²⁾ uważam za najświetniejsze źródło takich wyjaśnień, idących po linii najgłębszego rozwoju współczesnej myśli katolickiej.

Tyle o doktrynalnym znaczeniu katechizmu. Przechodzę do bull i encyklik.

2. Siła wyrazu tych dekretów, wywołanych potrzebami chwili, była zawsze zależna od konieczności mocnego przeciwstawiania się błędom herezji, lub rozluźnieniu obyczajów. Dosadna i autorytatywna ich terminologia zmierzała do otrzeźwienia. Celem jej było spowodować zawrócenie z błędnej drogi. Musimy się z tem pogodzić, że środki pedagogiczne, wszędzie, gdzie władza poczuwa się do odpowiedzialności, a więc do przemawiania hamująco, muszą mieć ton kategoryczny i nosić piętno czasu.

Pozatem groźne słowa encykliki „pro Iacobitis”, które cytuje p. Sk.³⁾, były, ze stanowiska kościoła uzasadnione. Chodziło bowiem o obronę przeciw herezji monofizytów (VI w.), godzącej w sam kamień węgielny nauki Kościoła: w osobę jej Założyciela.

Przy tej okazji przypominę jeszcze zdanie prof. Adama (już poprzednio przebieżnie przytoczone), że, „ile razy mowa o nietolerancji w rzeczach wiary, zapominają się, że to cecha każdej prawdy”.

Osobom, pragnącym zapoznać się bliżej z temi palącymi zagadnieniami, polecam rozdział: „Hors de l'Eglise point de salut” w książce prof. Adama (str. 207 — 227). — Znajdą tam materiał historyczny wzięty z Ewangelji (słowa Chrystusa), z Encyklik i bull, dotyczący całości stosunków Kościoła: 1-o do wyznań niechrześcijańskich, do Kościołów chrześcijańskich, które pierwotną jedność wiary rozbiły, 2-o do stosowanych względem nich prześladowań.

Ten obraz nie byłby jednak ani pełny, ani słuszny, bez uwzględnienia — jak to czyni Karł Adam — psychologicznych motywów, jakie na ten rodzaj wypaczonego prozelityzmu wpływały, po obu stronach barykady, w wiekach, kiedy „psychologiczne warunki, potrzebne duszom dla dojścia do prawdy, mało zaprzętały umysły (str. na 223).

Lecz mimo epok, w których obustronne namiętności — ale też stokroć gorętszy stosunek do spraw wiary, grały tak wybitną rolę — mimo gorszących faktów, które splamiły historję katolickich społeczności, doprowadząc u nich przejściowego zaćmienia czystości nauki Chrystusa, nigdy doktryna wyrażona przez św. Augustyna: „Kochaj ludzi — wytępij błąd” — nie przestała być żywą w Kościele. Nigdy nie zamilkły głosy, które ją przypominały. I nigdy błąd, płynący z nieświadomości człowieka, nie mógł — w zrozumieniu Kościoła — stać się przeszkodą do jego zbawienia. Nauka miłości,

ale i prosta logika, musiały na to wpływać w równej mierze.

3. Przechodzę do następnego punktu: nastania dogmatu?

W cytatach z książki prof. Adama (zamieszczonych w moim artykule) stanowczo nie znajduje się ani jedno słowo, upoważniające do tak niecisłego stawiania sprawy.

Dogmat w swojej treści jest niezmienny (immutabiliss, ale może się precyzować w umysłach, a temsamem może się też precyzować w umysłach wyraz jego treści. Jeżeli zechcemy uważać dogmat za skarb, za wartość obiektywną, oddaną ludziom w depozyt, okaże się rzeczą zupełnie zrozumiałą, że ludzie mogą coraz bardziej wnikać w zawartość tego skarbu. W ten sposób będzie narastać nie treść niezmienna dogmatu, ale poznawalność tego przedmiotu od strony podmiotu poznającego w czasie, czyli od strony człowieka.

4. Równie niecisły wydaje mi się wniosek p. Sk., kiedy mówi o katolickim uniwersalizmie „a priori”, który „bierze zgóry we władanie całą prawdę, jaka się kiedykolwiek ujawni”. Dotąd jest wszystko w porządku, ale gdzie sprawa się psuje, to kiedy p. Sk. zaczyna się kłopotać tem, „co wobec tak wielkich rozwojowych możliwości katolicyzmu pozostanie, jego własnością?”

Na to jest tylko jedna odpowiedź. Albo jest Prawda, albo jej niema. Jeżeli jej niema, to upada temsamem wszelka dyskusja. Jeżeli jest: to z natury swej posiada siłę przyciągania.

Wszystkie jej części rozsiane po świecie, wszystko, co dotąd wydała i wyda może zdolność poznawania prawdy, jaką otrzymał człowiek, — zgóry do niej należy. Ona sobie tego nie przywłaszcza: one są jej własnością. Spływają do niej same, na podobieństwo strug, które — siłą spadku — zdążają do wielkiego zbiornika wód: do morza. Natomiast, jeżeli te fragmenty, rozsiane po świecie, nie są „z prawdy”, przywłaszczanie jest sztuczne. Wkońcu się okaże, że części przyciągane gwałtem, nie przystają szczelnie do siebie, że się potworzyły luki i że „wielki puzzle” nie da się złożyć w całość. Ale, o ile Prawda zabiera swoje, wytaczanie jej o to sprawy jest co najmniej zbyteczne.

5. Ważną też rzeczą będzie rozróżniać ludzi osobiście zaangażowanych w szukaniu prawdy, od ludzi stojących wobec niej, jakby z zewnątrz, w postaci ciekawego widza.

Cechą pierwszych jest zawsze dążenie do ujedynienia własnego poglądu na świat, sprostowanie wszystkich zagadnień do jednego mianownika. Drugim brak woli, czy wytrwania, nie daje doszukać się jedności w rozbieżnych przejawach życia.

Potrzeba tej jedności, potrzeba ujęcia w zwartą całość swoich poglądów i przekonań, bo się wyczuwa między nimi głęboko ukryty logiczny związek — jest w gruncie rzeczy cechą każdej duszy chrześcijańskiej (z przyrodzenia chrześcijańskiej „anima naturaliter christiana”. Tertuljan).

Takim właśnie był Newman, człowiek o wybitnie unifikacyjnej umysłowości i organizacji duchowej, bliższej i wspólniejszej wszystkim katolikom niż nieokreślona „sensibilité catholique”, wypruta z rozumowej treści, która ma stanowić ich wspólną cechę według pana Sk.

6. Rozwlekłość mego sprostowania została mi już tylko miejsce na kilka słów. Dotyczą one zarzutu przeciw tak zwanemu „antropocentryzmowi katolickiemu”.

Poza znanym ustępem z listu św. Pawła do Rzymian⁴⁾, który podkreśla solidarność, łączącą człowieka ze wszystkim stworzeniem w ekonomji zbawienia, wystarczy wziąć do ręki Rytuał Kościelny, przepelniony modlitwami za całą przyrodę i błogosławieństwami dla niej: dla „volucres, apes, pecora, jumenta, equi” i wszelkiego żywego stworzenia.

Jeżeli mimo to katolicy skutkiem „twardości ich serc”, zapominają o pieczołowitej trosce Kościoła dla wszystkiego co

⁵⁾ „Bo samo stworzenie będzie wyswobodzone z niewolstwa skażenia na wolność chwały Synów bożych”. (R. VIII. v. 21.)

żyje i cierpi, jest to jednym dowodem więcej słuszności tego, co powiedział znany pisarz francuski, że „katolicy nie są (nieestety!) katolicyzmem”⁶⁾.

⁶⁾ Tak jak trudno jest czasem wierzyć, że każdy człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo boże!

Nakoniec przypominam, wśród tylu innych, Kantykt trzech młodzieńców (włączony do liturgji, a starszy o blisko 2000 lat od Hymnu Słońca św. Franciszka), który powołuje całą przyrodę do połączenia się z człowiekiem w jednej, wielkiej, wspólnej pieśni na chwałę Stwórcy.

W PERSPEKTYWIE 25 LAT

Dzisiaj, kiedy filologia klasyczna bywa często przedmiotem wrogich ataków, kiedy zapomina się o tem, że jest ona arką przymierza między dawnymi i nowymi laty, — szczególnie wielkie znaczenie ma praca i wysiłek jednostek, które bronią jej nieśpożytych, wiecznotrwających sił. Niemalże zasługi na tem polu położył profesor filologii klasycznej na Uniwersytecie Warsz. znakomity latynista Gustaw Przychocki. Należy o tem wspomnieć dzisiaj, gdy mija 25 lat od chwili, kiedy — jako rezultat stu-

z uczonymi i instytucjami zagranicznymi: organizuje polską Sekcję Association Guillaume Budé, jest prezesem delegacji polskiej na Zjeździe Międzynarodowej Konferencji Pracowników Umysłowych w Paryżu, jako delegat Rządu Polskiego odbywa w 1927 r. podróż do Delf i Aten. Te wszystkie obowiązki nie oderwały go jednak od pracy naukowej, w której coraz wspanialsze osiąga wyniki. Interesując się szczególnie poezją i dramatem, (elegja, Owidjusz, komedia, tragedia), wydaje wiele prac z tej dziedziny, wśród których naczelné miejsce zajmuje wspaniała monografia Plautus, Kraków 1925, dzięki której Przychocki został uznany za najlepszego znawcę Plauta w Europie i przez którą dał się poznać nie tylko jako uczyony, ale — dzięki wybitnie literackiej formie dzieła — jako poeta. Przekład komedji Plauta sławę tę Przychockiego wzmacnia i utrwala. Pierwsze swe prace wydawał Przychocki w języku łacińskim, w ostatnich latach jednak pisze przeważnie po polsku, będąc zdania, że teraz należy tworzyć polską literaturę naukową i zainteresować szerszy ogół kulturą antyczną.



GUSTAW PRZYCHOCKI

Przychocki jest członkiem czynnym Polskiej Akademji Umiejętności i jej Komisji Filologicznej, członkiem zwyczajnym Tow. Naukowego Warszawskiego, Tow. Naukowego we Lwowie, i członkiem Tow. Parnasos w Atenach. Jeśli więc oceniać rolę i znaczenie profesora według prac i działalności jego, to fakty powyżej przytoczone są dostatecznie wymowne; a jeśli chcieć mierzyć wielkość i rolę profesora promieniem zasięgu jego wpływu na uczniów — to i to zadanie w stosunku do osoby Jubilat będzie łatwe. Wystarczy wspomnieć, że tak trzech docenci filologii klasycznej na Uniwersytecie Warszawskim jak i lektorzy języków klasycznych wyszli ze szkoły Przychockiego, a i pozostali jego uczniowie — pomni słowa przysięgi doktorskiej — pracują bądźto na polu naukowym, bądź na popularyzatorskim, szerząc w ten sposób znajomość i kult antyku. Gorliwość tę i wytrwałość w pracy zawdzięczają właśnie wpływom Mistrza: Przychocki — swym temperamentem przejawiającym się tak w żywym jak i w pisanem słowie, jasnością i obrazowością stylu, subtelnym humorem umie porwać i zainteresować czytelnika, a cóż dopiero mówić o wrażliwych sercach słuchaczy? A przytem jest on nie tylko ich profesorem — wykładowcą, ale opiekunem — przyjacielem. Nietylko dzieli się hojnie wiedzą, nietylko, jako świetny pedagog i psycholog, uczy młodzież pracować, ale i charakter kształci i na życiowe zaprawia trudy. Wymagając wiele od siebie, nie może być poślizgnięty dla drugich, jednak błędy młodych po ojcowsku traktuje, do pracy serdecznie zachęca i radzi, i radości uczniów dzieli, w serca nieśmiały adeptów otuchę wlewa i szczerą opieką darzy. Uczniom — indywidualność twórcza Profesora, jego głębia wiedzy, sumienność pracy, siła woli, stanowczość dążeń imponuje i staje się dla nich ideałem. To też wychodząc ze szkoły Przychockiego wynoszą nietylko umiłowanie świata antycznego, ale umiłowanie pracy i poczucie odpowiedzialności słowa i czynu.

W ostatnich dniach ukazała się publikacja Charakteria Gustavo Przychocki a discipulis oblata, Varsoviae 1934, która jest wyrazem hołdu i wdzięczności uczniów, którzy w ten sposób uczcili ćwierćwiecze pracy naukowej Mistrza, składając mu zarazem życzenia, by równie owocnie jak dotychczas pracował dla chwały kultury i nauki polskiej ad plurimos annos.

Lidia Winniczukówna.

¹⁾ Pion Nr. 14;

²⁾ Pion Nr. 13: Dwie Reakcje.

³⁾ Le vrai visage du catholicisme (Grasset). Przekład francuski jest lepszy od polskiego.

⁴⁾ Nr. 9 Pionu „Katechizm Dyplomaty”.

NA SCENACH STOLICY

„Szkłanka wody” — komedia w 5-ciu aktach Eugenjusza Scribe'a na scenie Teatru Narodowego. Reżyserja E. Chaberskiego. Dekoracje S. Jarockiego. (Dn. 19.V. 1934).

Znakomity krytyk polski, Władysław Bogusławski, omawiając epokę panowania Scribe'a w polskim teatrze, tak pisze: „W stosunku do publiczności był on sztukmistrzem, który bawił, nie nawołując do myślenia; — w stosunku do aktorów dowcipnym postrzegaczem, który ich uczył chwycić i spożytkować powierzchowną charakterystyką ludzi, rzeczy i stosunków życiowych”. A Dumas syn zamknął Scribe'a w lapidarną formułkę: „Szekspir chińskich cieniów”.

Sluchając jednego z najdojrzałszych dzieł jego, powstałej w okresie najbujniejszego rozwoju talentu (r. 1840), „Szkłanki wody”, wystawionej właśnie przez Teatr Narodowy, prosto nie można wyjść ze zdumienia, że utwór ten pisany był w tyle lat po Moljerze — taka w niem jeszcze wodnistota charakterów, tyle niezmiernie naiwności technicznej, chciałoby się wierzyć, że teatr retrospektywny sięgnął tym razem gdzieś do bardzo dawnych czasów i demonstruje nam interesujący zabytek literatury dramatycznej, w którym każdy szew widoczny zdala, jest szacowny i dla epoki charakterystyczny.

Gdy jednak słucha się tej komedji granej przez doskonałych aktorów przyjemnie, dochodzi się nie tylko do zrozumienia wartości, które Scribe przyniósł do teatru, ale i trafności tego tajemniczego nieco określenia, że autor „Szkłanki wody” jest Szekspirem chińskich cieniów. Musiał być niewątpliwie bożyszczem ówczesnych aktorów, idealnym dla nich dostarczycielem repertuaru: tworzył niezwykle efektowne i plastyczne charaktery w znaczeniu ról aktorskich, nie wymagając ani głębszego wejścia w ich duszę, ani współpracy przy tworzeniu człowieka. Jeśli wyobrazić sobie psychikę ludzką, całkowicie dającą się przetłumaczyć na język kostiumu, gestu i frazesu to będzie ona wzorem wszelkich bohaterów Scribe'a. Wszystko na powierzchni, ale żywe, interesujące, zabawne i zręczne. Rzeczywistość jest tu tylko pozorem: nic nie pomaga autorowi, że akcję tak ściśle określił, jakby ją wyjął dosłownie z historii. Widz nie przejmując się zbytnio tem, że królowa w „Szkłance wody” jest właśnie królową Anną angielską, że scena przedstawia pałac w Saint-James, że wypadki rozgrywają się ściśle w r. 1710-ym. Jest to historycznym najzupełniej powierzchowny i bez żadnych zdecydowanych ambicji. Po Szekspirze prawdziwym, gdzie sztuka prowadzi intrygi stoi o wiele wyżej od anegdot Scribe'a, po Moljerze, gdzie człowiek został w komedji uchwycony tak głęboko, jak to Szekspir uczynił w dramacie, Scribe był potrzebny teatrowi chyba tylko dla rozwoju sztuki aktorskiej: kto wie, ile było jego zasługi w rozkwicie tej sztuki w drugiej połowie ubiegłego stulecia?

Jak zawsze w takich wypadkach pojawia się pytanie, czy reżyserja nowoczesna ma zgadywać teatr Scribe'a i powtarzać go w jego specyficznym upłyconym realizmie, czy też interpretować, wsuwać własną indywidualność pomiędzy autora i współczesnego widza. Obu dróg można bronić, obie mogą dać doskonałe rezultaty. Niedobry natomiast wydaje się droga trzecia, obrana przez p. Chaberskiego, aby poszukiwać na pograniczu stylizacji i realizmu szczęśliwego wypadku. Rzecz prosta, że przypadek ten zdarzał się często w szczęśliwie utrafionej grze aktorów, tam jednak, gdzie od reżysera oczekiwać należało wyraźnego stanowiska, nie można się było go doczekać. Uderzało to szczególnie w dwu aktach ostatnich: w czwartym, gdy nagle na scenie wybuchła przyjęcie u królowej Anny, i w piątym, gdy szereg intryg znajduje ostateczne rozwiązanie. Widz jest w obu tych wypadkach niesłychanie zaskoczony — tempo jest prawie kinematograficzne, poseł francuski przybywa na przyjęcie do królowej w trzy minuty po wysłaniu do niego zaproszenia, samo przyjęcie jest tylko zamarkowane przez paru stojących w kącie statystów; a już wtargnięcie wielu ludzi z niezrozumiałych powodów w finale sztuki budzi mnóstwo pytań: kto, poco i jakim sposobem? Tu zemścił się brak decyzji reżysera: albo konwencjonalizm wystylizo-

wany á quatre epingles, albo rozbudowany realizm. Albo marjonetki, albo anegdota rzeczywista. Scribe nie jest bowiem tak niedołączny w technice budowania sytuacji, jak to się widzi „Szkłanki wody” musiało wydać.

Grano natomiast doskonale. Szczególnie p. Cwiklińska, zdecydowana w tonie królowej z komedji, była niezmiernie zabawna w kłopotach panującej. Tę królowę czy księżną wśród domowych kłopotów ośmieszyła farsa francuska później o wiele grutowniej, ale p. Cwiklińska umiała to uczynić z tym niezwykłym umiarem i siłą komiczną, która cechuje znakomitą artystkę. Groźną ochmistrzynią i tyranem królowej była p. Pance-

wiczowa, w miarę dotkliwa i w miarę kobieca, doskonale cieniuąc przejścia od „racji stanu” do swoich spraw osobistych. P. Leszczyński jako wódz parlamentarnej opozycji postępował jak prawdziwa opozycja: był niezmiernie interesujący we wszystkich przemowach i dąsach, i pozbawiony wiary w ważność spraw, którym orędownał. Na tym doskonałym artyście można było najlepiej obserwować wszystkie cechy teatru Scribe'a: jak wdziękiem osobistym może aktor skupić uwagę widowni na postaci, która niema żadnej łączności z rzeczywistością.

Bardzo miłą postacią młodej Abigail stworzyła p. Lindorf, doskonale czująca się w kostiumie i psychicznej prostocie swojej bohaterki. Naodwrot jej partner p. Wesolowski, któremu mundur kapitana gwardji odebrał bardzo dużo przyrodzonej swady i wesołości.

Oprawa sceniczna p. Jarockiego staranna i pełna smaku.

W. Z.

REALIZACJA WIELKIEJ WYGRANEJ 29-ej LOTERJI

WŁAŚCICIELE MILJONOWEGO LOSU
W GENERALNEJ DYREKCJI.



1) p. Wasiak Marja, 2) p. Kozłowska Marja, 3) brat p. Aniela Jędrzejewskiej, 4) mąż p. Władysławy Kosińskiej, 5) p. Stanisław Drużycki, 6) p. T. Chajbowski, (prezes zrzeszenia, które posiada szczęśliwą kolekturę, 7) p. Marja Majewska, kierowniczką szczęśliwej kolektury.

Mówi się zwykle, że los jest ślepy. Jak wskazują ostatnie wyniki ciągów Loterii Państwowej, w powiedzeniu tem jest tylko część prawdy, gdyż od pewnego czasu fortuna obdarza swemi względami przedewszystkiem najbardziej potrzebujących jej łask. Bezrobotni, lub zdobywający w pocie czoła środki na utrzymanie siebie i swych rodzin pracownicy umysłowi i fizyczni — oto terazniejsi faworyci kapryśnej bogini.

I doprawdy, że szczerą satysfakcją spoglądaliśmy na rozjaśnione twarze świeżo upieczonych „milionerów”, którzy zjawili się w biurach Generalnej Dyrekcji Loterii Państwowej, by zrealizować swe szczęśliwe ćwiartki. Są to wszystko ludzie ciężkiej pracy, których życie doświadczało nieraz gorzko, a bieda bywała u nich częstym gościem.

TRZY PRACOWNICE PRALNI SZPITALNEJ.

Panie Marja Kozłowska, Władysława Kosińska i Aniela Jędrzejewska piastują zawód, który — podobno — cieszył się specjalnemi względami wielkiego Napoleona. Pracują one mianowicie w pralni szpitala im. Prezydenta Mościckiego. Zarobki ich niebardzo pozwalały na kupno całej ćwiartki losu dla każdej z osobna, poróżumiały się więc między sobą i nabyły ćwiartkę do spółki. Wybór numeru odbył się przypadkowo. Mianowicie subkolektor, okazując klientkom losy, jeden z nich upuścił w ten sposób, że znalazł się on u nóg p. Kozłowskiej. Wzięto to za dobry omen i nabyto ten właśnie numer; jak się okazało — wróżba nie była płonna.

Wszystkie trzy panie zamierzają nabyć dla siebie domki z ogródkiem. Pani Kozłowska obiecuje sobie wykształcić swego siedmioletniego syna na malarza, gdyż wykazuje on szczególne uzdolnienia w tym kierunku. A pozatem będzie mogła leczyć córkę, która przechodziła ciężką operację i wymaga dłuższej kuracji.

Dodać należy, że dotychczasowe zarobki każdej z tych pań wynosiły 135 zł. miesięcznie. Mąż p. Kozłowskiej, ślusarz z zawodu, zarabia bardzo mało, gdyż pracuje tylko trzy dni w tygodniu.

KONIEC Z KŁOPOTAMI.

Pani Marja Wasiak, właścicielka drugiej ćwiartki losu nr. 30290, jest pielęgniarką w łódzkiej Ubezpieczalni Społecznej. Z 200 zł. miesięcznie utrzymywała, prócz siebie, matkę-staryszkę i braci. Ciężko jej było bardzo i z trudnością wiązała koniec z końcem.

Dziś, po otrzymaniu, dzięki Loterii Państwowej, 200.000 złotych, zamierza kupić sobie kawałek ziemi i osiąść nastale na wsi, oddając się pracy na roli, o czem całe życie marzyła.

PREZENT ŚLUBNY OD LOTERJI PAŃSTWOWEJ.

Pan Keilich, młody urzędnik łódzkiego oddziału Towarzystwa Ubezpieczeń „Vesta”, zaręczył się właśnie przed paru tygodniami i oczekiwał tylko na awans, by zrealizować swe zamiary matrymonjalne.

„Upominek ślubny”, jaki otrzymał dzięki Loterii Państwowej, w postaci 200.000 zł., pozwoli mu przyspieszyć termin ślubu. Szczęść Boże młodej parze!

JUBILAT LOTERYJNY.

Właściciel ostatniej ćwiartki losu Nr. 30290 p. Stanisław Drużycki, jest emerytowanym urzędnikiem łódzkiego oddziału Banku Polskiego. Gra on na Polskiej Loterii Państwowej od chwili jej powstania ze zmienem szczęściem. Jego wierność, stałość i wytrwałość doczekała się zasłużonej i wspaniałej nagrody. Dziś nie będzie już liczył cudzych pieniędzy, jak to musiał czynić w banku, ale swoje własne.

Starość swoją i byt rodziny ma zabezpieczony.

II-gi Międzynarodowy Zjazd Filologów Słowiańskich

Zgodnie z uchwałą, powziętą na Zjeździe Praskim w r. 1929, II Międzynarodowy Zjazd Słowistów (Filologów Słowiańskich) odbędzie się w Polsce w drugiej połowie września 1934 r. i związany będzie z setną rocznicą pierwszego wydania „Pana Tadeusza” Mickiewicza.

Obrady Zjazdu toczyć się będą w 4-ech sekcjach: 1) językoznawczej, 2) historii literatury, 3) kulturalno-społecznej i 4) dydaktycznej.

Przedmiotem obrad nowoutworzonej Sekcji 3-ej będą wpływy wzajemne narodów słowiańskich w zakresie kultury i stosunków społeczno-prawnych.

Skład Komitetu Organizacyjnego Zjazdu stanowią: Prezes — Prof. Dr. Jan Rozwadowski, Wiceprezes — Prof. Dr. Stanisław Szober, Sekretarz Generalny — Prof. Dr. Witold Doroszewski, Prezes Sekcji Językoznawczej — Prof. Dr. Tadeusz Lehr-Splawiński, Sekretarz — Doc. Dr. Mirosław Malecki, Prezes Sekcji Historyczno-Literackiej — Prof. Dr. Józef Ujejski, Wiceprezes — Prof. Dr. Julian Krzyżanowski, Sekretarz — Doc. Dr. Konrad Górski, Prezes Sekcji Kulturalno-Społecznej — Dyrektor Dr. Józef Siemiński, Sekretarz — Dr. Stanisław Borowski, Prezes Sekcji Dydaktycznej — Doc. Dr. Zenon Klemensiewicz, Sekretarz — Dr. Franciszek Bielak.

Podsluchana rozmowa.

— Zgodzi się pani jednak, że specjalnie wśród mężczyzn daje się zauważyć zanik wielu zwyczajów, uświęconych przez tradycję.

— Przez solidarność kobiecą nie chcę bronić mężczyzn, sądzę jednak, że niejednokrotnie kobiety dają do tego powód. Weźmy na przykład ten podkreślany przez panią smutny objaw braku szacunku dla pań. Całowanie ręki kobiecej na powitanie lub pożegnaniu zanika prawie zupełnie. Czyż nie należy jednak przypisać to temu, iż ręka nowoczesnej kobiety wśród jej zainteresowań, zajęć i sportów upodabnia się do ręki męskiej, staje się szorstką i niechętną do dotyku, a całkowicie niepodobna do opiewanej przez poetów, wydelikacowanej rączki kobiecej, stworzonej do pieszczot i poculunków.

— Przecież tak łatwo usunąć wszelkie niedomagania skóry rąk zapomocą wypróbowanego środka Glycerjell marki Antiba. Stale go używam.

— Toteż rączki pani, to prawdziwy poemat — powiedział milczący dotychczas pan Zygmunt. — Gdyby każda kobieta dbała tak o swe ręce jak pani, a w razie opierzchnięcia, pęknięcia skóry lub zaczerwienienia rąk, wcierała nieco Glycerjellu Antiba, mężczyźni napewno chętniej całowałiby gładkie i delikatne rączki.

Na ekranach

„PILNUJ SWEGO MĘŻA”
(„Atlantic”)

Jest w tej amerykańskiej historii, nazywanej się woryginalnie „Annie z holownika (Tugboat Annie) wiele rzeczy dobrych i parę poważnych błędów. Podstawą filmu, a zarazem najbardziej atrakcyjnym momentem jest kreacja doskonałej aktorki charakterystycznej Marji Dressler, grającej dzielną żonę i matkę, przez całe życie walczącą z pijaczną żoną, marnującym wszystkie zdobyte ciężko przez prawdziwą „panią domu” zapracowane. Ta walka z mężem, opanowanym przez nietylko może demona, co chorobliwą manję alkoholizmu jest podłożem dramatu, przyczyną wszystkich kłesk i niepowodzeń, które punkt swój szczytowy osiąga w pokłóceniu rodziców z jedynym i ukochanym synem. Dopiero bohaterstwo ojca, poświęcającego własne życie dla uratowania syna kładzie kres nieszczęściom i happy-end świąci triumfy.

Reżyser Mervyn Le Roy, autor dwóch dobrych filmów, które niestety do Polski nie dotarły, odnosząc sukcesy na Zachodzie Europy — „Jestem zbiedzim” i „Mały Cezar”, dal scenariuszowi dobrą oprawę filmową, umiejętnie wygrawając aktorów. Zarzucić tylko należy realizacji, a poczęści i scenariuszowi, i to jest właśnie najpoważniejszą wadą filmu — niepotrzebne wbijanie łopatą do głowy widzowi tendencji obrazu i brak umiaru w momentach dramatycznych i komicznych. Film jest za szorstki, za jaskrawy, zanadto — amerykański. Szkoda, że reżyser Mervyn Le Roy nie wzorował się na świetnej książce Londona „John Barleycorn”.

I jeszcze jeden bład reżyserji — zrytmizowanie filmu, który nie ma linii rozwojowej akcji i koncentruje wszystkie dramatyczne, rozstrzygające momenty na ostatnich kilkuset metrach taśmy. Brak tu równowagi pomiędzy pierwszemi aktami, mającymi charakter opisowy — statyczny a dynamicznym wybuchem w akcie ostatnim.

Są w filmie i zalety, a przede wszystkim zaliczyć do nich trzeba — grę Marji Dressler, głęboko ludzką, nieszablonoj i mającej wiele siły przekonującej. Marja Dressler przeżywa rolę Annie, a nie odważa ją, jak postępuje większość, często znomych komitach zresztą aktorów. W niczym scenariuszu, w zgrabnie zrobionym filmie i wśród dobrze grających aktorów — ona jedna reprezentuje pierwiastek artystyczny, coś co mówi widzowi, wnosząc na ekran wartości nieprzemijające i trwałe. Banalna historjka, opowiedziana przez scenarzystów i reżysera zostaje przez grę Marji Dressler — sublimowana, a o temacie filmu można mówić dzięki świetnej artystce — poważnie. Warto pójść na „Pilnuj swego męża” tylko i wyłącznie dla niej, rzadko, zwłaszcza w amerykańskich filmach widuje się kreacje tak mocne i zdecydowane.

Wspomnieć jeszcze warto na zakończenie o dobrej fotografii (plenery portowego miasteczka) i starannie opracowanych dialogach. Nadprogram nieudany dodatek kolorowy Szczepaników, aktualności Foxa i słaba groteska rysunkowa.

„CZERWONY WÓZ”
(„Casino”)

Najłatwiej scharakteryzować „Czerwony Wóz” określając film reżyserji Steina, jako angielski „Pałac na kółkach”. Oba filmy łączy środowisko cyrkowe, w podobny sposób ujęte i pokazane. Niesprawiedliwieścią dla reżysera Steina byłoby snućie dalszych porównań, „Pałac na kółkach” był bowiem w najlepszym razie nienajgorszym projektem na film, a „Czerwony wóz” jest obrazem wcale niezłe zrobionym i zagrany, a przede wszystkim umiejętnie oddającym na ekranie atmosferę widowisk jazzmarcznych, odmalowującym uroki życia aktorów — wędrujących z miasteczka do miasteczka, z jednego hrabstwa do drugiego, poprzez całą Anglię.

Fabula nie grzeszy mądrością i głębią psychologiczną. Nie chodziło zresztą autorom „Czerwonego wozu” ani o wycieczkę w głąb dusz cyrkowców, ani o nakreślenie sensacyjnego dramatu, a jedynie o wydobycie najbardziej typowych i charakterystycznych momentów z życia cyrkowego na tle ramowej, konwencjonalnej powiastki o miłości ujeżdżacza dzikich rumaków do pogromicielki jeszcze dzikszych tygrysów. W grę jeszcze wchodzi rywalizacja zawodowa — walki z konkurencyjnym przedsiębiorstwem, no i niezbędni w „miłosnych historjach” drugoplanowi kochankowie i kochanki. Ideą przyświecającą bohaterom jest miłość do cyrku, przezwyciężająca wszystkie trudności, prostująca ścieżki i jako naczelna zasada moralna i dewiza życiowa: „Cyrk przede wszystkim”.

Reżyser P. Stein nakręcił film dobrze skonstruowany, niepozabawiony walorów plastycznych i dramatycznych. Poszczególne sceny są dobrze skomponowane, tak kameralne, jak zbiorowe, a zdjęcia mają właściwy koloryt i ton. Montażem posługuje się Stein zręcznie, co rzuca się zwłaszcza w oczy w dobrem przejściu czasowo odmalowującym etapy kariery bohatera — Joe Prince'a.

Z aktorów wyróżnić należy poza Ch. Bickfordem, grającym główną rolę — bezimiennego chłopca (ta sama rola — młode lata bohatera) i Gretę Nissen, zmienioną na korzyść od czasu porzucenia Ameryki, może nie pod względem fizycznym, ale psychicznie (dobre ujęcie roli). Raquel Torres jest bardzo ładna, ale gra słabo. Nad program polski dodatek Platerów i aktualności Paramountu.

LISTY DO REDAKCJI

WYSPIAŃSKI O IDEOLOGJI
„OGNIEM I MIECZEM”

Szanowny Panie Redaktorze.
Kiedy w ubiegłym roku rozlegały się pewny na cześć St. Wyspiańskiego — pieśń o państwowości polskiej, — zapomniano w powodzi szumnych artykułów i uczonych rozpraw o pewnym naporoz drobny wydarużeniu z jego życia, ilustrującym stosunek znakomitego poety-badacza przeszłości do ideologii „Ogniem i mieczem”.

Faktem jest, że Wyspiański był zwolennikiem nagiej — jeśli się tak wyrazić można — prawdy historycznej, głęboko ją odczuwał i umiejętnie wydobywał. Pragnął — według słów Szujskiego — przodkom „z duszy zdjąć ciężar, że synowie patrzą na nich jak na świętych, a oni nie byli świętymi”, a więc odzierał ich z wszelkich zasłon, przedstawiał bez krzty zakłamania.

Takim stanowiskiem wobec przeszłości da się wytłumaczyć następujący charakterystyczny wypadek, pozornie świadczący o targaniu się na świętości narodowe, o nieważności do szlacheckiej przeszłości, w istocie zaś oświetlający stosunek poety do fałszywych komentarzy i błędnych historjografj, wykrzywających prawdę historyczną.

Wypadek miał miejsce w pracowni malarskiej Wyspiańskiego w obecności jego kuzyna, Zenona Parwi'ego w czasie, gdy ogół polski zachwycał się „Ogniem i mieczem”, a wyidealizowany przez Sienkiewiczczka książę Jarema urosł na wyobraznika najwyższej chwale narodowej. Wyspiański zajmował się wówczas gorliwie malarstwem. Pewnego dnia wykańczał właśnie portret ryccerza na kartonie, gdy przyszedł do niego wymieniony kuzyn — rówieśnik. Obraz ryccerza-zbarażczyka w naturalnej wielkości prezentował się — według zapewnień Parwi'ego — imponująco. Był to ryccerz w pełnej zbroi z zarzuconą delją gronostajową. Brakło mu tylko promiencji aureoli, jaka okalała wiszący na przeciwległej ścianie obraz święty. Kuzyn zauważył po namyśle, że należałoby podobną aureolą opromienić głowę ryccerza-zbarażczyka jako przedstawiciela „sławnej szlacheckiej przeszłości”. „Sławnej szlacheckiej przeszłości!” — powtórzył poeta jakimś dziwnie zmienionym głosem, a po chwili zapalił zapalke i otoczył malowniczą postać blaskiem aureoli z prawdziwych płomieni. Wciągu kilkunastu sekund spopielił się doszczętnie wspaniały ryccerz. Przerazonej stróżce, która wbiegła na ratunek w przekonaniu, że wybuch pożaru, wyjaśnił poeta z przekąsem, że nie wielkiego się nie stało, bo tylko „spłonęła sławna przeszłość szlachecka”!

Barwne życie szlacheckie, które pociągało Wyspiańskiego, jako malarza-wizjonera, odpychało go jednocześnie jako poeę-historyzofa swą anarchicznością i swawolą.

Streszczone zdarzenie potwierdza jeszcze raz prawdę wielokrotnie dowiedzioną, że Wyspiański był umysłem niezależnym, nowoczesnym i krytycznym, który miał przedrzeć się przez gąszcz sugestywnych obrazów literackich i dotrzeć do jądra prawdy. Miał w tem niewątpliwie swą dużą zasługę zalecany przez Górkę autor Dziejów Polski, Józef Szujski, który nauczył autora Bolesława Śmiałego i wielu innych dramatów widzieć prawdę historyczną w jej właściwym świetle.

Wyspiański wogóle nie uznawał metod historycznych Sienkiewicza, czemu dał m. i. wyraz w liście do F. Hoesicka z dnia 22 marca 1900 r., w którym określił n. p. sposób przetworzenia Hektora przez autora „Trylogji”, jako pomysły „niewłaściwy i poniekąd nietakowny”. Był więc nietylko odwróconem obliczem tego samego posągu, któremu na imię Sienkiewicz (Tetmajer), ale raczej poetą współczesności, piewcą wyzwalamającej się i organizującej państwowości, buntującym się w imię zdrowego instynktu narodowego przeciw naiwnemu idealizmowi przeszłości.

Jego potężny głos winien obecnie w chwili krzyżowania się namiętnych sporów dyskusyjnych na temat wartości historycznych „Ogniem i mieczem” przeważyc zdecydowanie szale na rzecz rzetelnie i śmiało podjętej rewizji.

Białystok.

Dr. S. Seidler.

¹⁾ Wypadek opowiedziany przez Parwi'ego w „Nowej Reformie” 1907 r.

„INFORMACJA PRASOWA POLSKA”

jedne od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”, Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9-41-55).

Z SALI KONCERTOWEJ

OTTO KLEMPERER.

Każda epoka muzyczna wytwarza swój styl odtwórczy. Styl ten — w zależności od wielu czynników indywidualnych — pozostaje w ścisłym związku z twórczością danego okresu. Współczesność w swych dążeniach do muzyki absolutnej, w reakcji przeciw romantyzmowi, przeciw treści uczuciowej w muzyce — wykształciła „obiektywne” styl wykonawczy. Wykonanie utworu muzycznego bez subiektywnego zabarwienia odtwórcy, surowość i precyzja w formie wykluczającej wszelką inicjatywę ekspresyjną — oto współczesny ideał sztuki odtwórczej.

W Robercie Casadesus, w Sergjuszu Prokofjewie poznaliśmy pianistów tego typu, a ostatnio w piątkowym koncercie symfonicznym dyrygenta-modernistę Ottona Klemperera. Modernista dyrygujący Bacha z mistycznym umiłowaniem, a Mozarta i Beethovena z klasyczną doskonałością!

Główną cechą artystycznej indywidualności Klemperera jest konstruktywna wola i duchowa siła oddziaływająca sugestywnie na wykonawców a zmuszająca publiczność do głębokiego skupienia.

„Rzeźbi” on siódmą symfonię Beethovena, z mistrzowską dokładnością w opracowaniu szczegółów, tworząc przytem monumentalną budowę o nieprzerwanej linii. Nie dba o efekty zewnętrzne, błyskotliwość rytmiczną czy dynamiczną, jego Beethoven działa na słuchacza siłą wyrazu wewnętrzno-go, duchem czystej sztuki.

Klemperer jako odtwórca „nowej muzyki” jest wzorem doskonałości. „Pietruszka” Strawińskiego, o partyturze rytmicznie i dźwiękowo skomplikowanej, pod jego batutą zadziwia przejrzystością konstrukcji, plastyką dźwięku i rytmu. Idealnie wykonany „Pietruszka” przekonał nawet zagorzałych przeciwników.

Strawińskiego poprzedził Tocata C-dur Bacha w orkiestracji Leona Weinera. Tak wyczuć głębię i niezmierną muzyki w adagio, tak rozbudować fugę, tak stylistycznie „wiernie” oddać Bacha potrafi tylko Klemperer!

Koncert był przeżyciem muzycznym o najwyższej wartości.

Dr. Sydonja Pfau.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

BIBLIOTEKARSTWO, BIBLIOFILSTWO

Książka w bibliotece. Katalog informacyjny. Warszawa, 1934. Nakładem Pol. Wyd. Książek i Związku Księgarzy Polskich.

Skorowidze i tablica do katalogu informacyjnego „Książka w bibliotece”.

GRAMATYKA, JĘZYKOZNAWSTWO

S. Kułakowski — Pierwsza książka do nauki języka rosyjskiego. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa.

PEDAGOGIKA

Dziecko wsi polskiej. Próba charakterystyki. Praca zbiorowa pod red. Marji Librachowej. Nakładem „Naszej Księgarni” S. A. Warszawa, 1934.

GEOGRAFJA

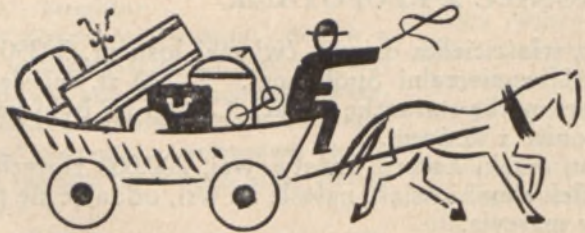
Bolesław Leitgeber — Kopenhaga kluczbaltyku. Toruń 1934. Biblioteczka Baltycka. Nakładem Instytutu Baltyckiego.



zbliża się



sezon letniskowy



Nie zapomnij zabrać kuchenki spi-rytusowej EMES, która ułatwia pro-wadzenie gospodarstwa na letnisku

CENA ZŁOTYCH 10.—

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24.00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590
Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21.44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: **Tadeusz Świącicki**

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty **Juljan Zielski**

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10